

ZBIORY OSR...

**SPOŁECZNA  
KOMISJA  
ZDROWIA**

---

**zeszyty  
niezależnej  
myśli  
lekarskiej**

numer

**11**

kwiecień

**1987**

SPIS TREŚCI:

---

1. Zofia Kuratowska: Służba zdrowia - kto winien?
2. Kto płaci za ubezpieczenia społeczne?
3. Katastrofy ekologiczne ciąg dalszy
4. Ewa Szumańska: Między nadzieją a brakiem nadziei
5. Przewodnik po Gułagach
6. List do dra A. Koriagina
7. Lektor: Zbrodnie Bieruta
8. Niezależny ruch wydawniczy

## SZKODA ZEROWIA - KTO WENIEN?

Widok korytarza w przeciętnym polskim szpitalu wprawia w stan osłupienia i zgrozy nie tylko każdego przybysza z Zachodu, lecz także tuflyca - takiego, który do chwili tej wizyty nie chorował, nie musiał leżeć w szpitalu i nikogo w nim nie odwiedzał. Rozpocz natemiasz ogarnia tych, którzy muszą korzystać z tzw. usług okładby zdrowia. Tych, którzy - czasem bardzo źle się czując, czasem ze znacznie ograniczoną sprawnością - kłócą do różnych drzwi; przesyłani są z miejsca na miejsce, często odległe od siebie o kilka czy kilkanaście kilometrów; czekają godzinami na wyniki badań lub konsultacji, aby wreszcie trafić na składane łóżeczko w zatłoczonym korytarzu i - choć już bezpłecni - zacząć nową udramę porwania się z basenami, niaradnością używać się itd. Wściekłość ogarnia tych, co stojąc w długim ogonku w aptace słyszą ciągle "nie ma, bratuje, w ogóle nie dostajemy" i odchodzą z nie zrealizowanymi receptami w garści.

Szkoda mówić o uczuciach, jakie w tej sytuacji miotają lekarzami. Nie o uczuciach mamy szczerą w tej chwili mówić. Nie jest też moją intencją ani przedstawianie obrazków brożących krew w żyłach ludzi spoza środowiska medycznego, ani biadolenie, ani zamuckanie czytelnika szeregiem liczb ilustrujących sytuację opieki zdrowotnej w PRL, choć zapewne bez kilku takich liczb się nie obejdzie.

W ostatnich latach zresztą ukazało się w prasie oficjalnej wiele alarmujących artykułów na temat stanu naszych szpitali i zapotrzenia w leki, z wieloma danymi do niedawna jeszcze raczej ukrywanymi. Streszczono w niektórych gazetach kolejne burzliwe posiedzenia sejmowych komisji zdrowia, na których padło dużo gorzkich słów prawdy. Z artykułów tych, jak i z posiedzeń, dokładnie nic nie wyniknęło w praktyce. Nie sięgnięto też nigdy do przyczyn leżących u podstaw tych zjawisk. Zdaje się nawet, że problem szpitali i trudności w służbie zdrowia stał się jakby tematem dyżurnym prasy jako ujście dla goryczy i niezadowolonia. Nie ma to oczywiście na ogół

nie wspólnego z intencjami dżentelmenów piszących na te tematy. Dla tzw. decydentów jest sposobem na pokazanie, że "mówimy prawdę o sprawach bolesnych". Powala się ponauczkać, a jak już zbierze się za wiele tej krytyki, wtedy w dzienniku TV zawsze można pokazać zbudowany świątelnik, budołek zdrowia albo dać kolejnego reportarza z budowy Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki.

Wydaje się zatem słuszne zanalizowanie kilku problemów dotyczących opieki nad naszym zdrowiem, zastanowienie się nad przyczynami przerażającego stanu rzeczy i przeoczekowanie, jakie są możliwości poprawy. Musimy sobie bowiem uświadomić niezwykłą powagę tego problemu. Obecna sytuacja w zakresie opieki zdrowotnej nie tylko bowiem ustawia nas lalako w tyle za średnio zamożnymi krajami cywilizowanymi, ale wraz z coraz większym zanieczyszczeniem środowiska i fatalnym odżywianiem zagraża fizycznemu bytowi naszego społeczeństwa.

### Spojrzenie wstecz

Po okresie II wojny światowej duża część placówek służby zdrowia legła w gruzach. W okresie okupacji znaczna część lekarzy i pielęgniarek wymordowano lub wywieziono na wschód i na zachód.

Należy w tym miejscu wspomnieć, że w czasie wojny polska służba zdrowia działała znakomicie; w szpitalach przeprowadzano z sukcesem najtrudniejsze operacje; leczono skutecznie poważne choroby - tymi metodami, jakie znane były w owym czasie; docierano z pomocą do najuboższych warstw ludności i w najcięższych warunkach. Udało się nie dopuścić do poważniejszych epidemii; nawet śmiertelność noworodków nie była zaskakująca, pomimo wyjątkowo trudnych okoliczności i niedożywienia /poza oczywiście gettem i obozami koncentracyjnymi/.

Służba zdrowia zdała też na piątkę egzamin w walce z okupantem, w ratowaniu życia ludzi ściganych przez gestapo lub rannych w czasie obław i potyczek. Niemniej środowisko to poniosło ciężkie straty.

Po zakończeniu wojny przystąpiono do rekonstruowania tego, co było przedtem. Truizmem byłoby przypominać, choć młode pokolenie Polaków ani pamiętać, ani znać tych czasów nie może, że okres ten, mimo wszystkich zaszczezeń, oporów i obaw, jakie budził nowy system i władza, cechował się rzeczywistym zapałem i pragnieniem odbudowy tego, co było przed kataklizmem wojny. Uczucia te były szczególnie silne wśród ludzi związanych z



opieką zdrowotną.

Oczywistym było, że lekarz musi leczyć ludzi niezależnie od otaczających warunków, niezależnie od tego, czy urządzenie mu się podoba, czy nie. Również oczywistym wydawało się, że funkcja władzy, jaka by była, będzie zależała od odratowania zniszczonych sił narodu, przywrócenia zdrowia tym, którzy je stracili.

Uczono się zatem, pracowano, każdą chwilę poświęcano chorym i odbudowywaniu zniszczonych szpitali i przychodni. Jak grzyby po deszczu powstawały nowe oddziały szpitalne w zrujnowanych budynkach i na przedce wznoszonych barakach. Oddziały te były często prymitywne, tymczasowe, chorzy leżeli na materacach na podłodze, ale... w czystej pościeli, pod niezwykle troskliwą opieką lekarzy i pielęgniarek, w czym nie mała była zasługa siostr zakonnych pracujących wówczas powszechnie w szpitalach.

Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że ta tymczasowość i prymityw mogą pozostać... na zawsze. Impet budowlany i organizacyjny był przecież tak duży.

Jednocześnie, w tych latach powstały nowe podstawy systemu ochrony zdrowia związane z principiami ustroju socjalistycznego - utworzono powszechną, dostępną dla wszystkich i bezpłatną społeczną /czytaj państwową/ służbę zdrowia. Zlikwidowano wszystkie prywatne kliniki czy lecznice, rozpoczęto intensywną walkę z prywatną praktyką.

W teorii te zasady wydawały się słuszną, a przede wszystkim sprawiedliwą - likwidowały bowiem różnice między ludźmi - każdy miał prawo do opieki lekarskiej i leków odpowiadających jego chorobie, a nie stopniowi zamożności.

Abstrahując od usterek organizacyjnych taki system opieki zdrowotnej mógł być postępowym w sensie społecznym i tak został przyjęty. Wielu z nas było naiwnych - jako studentce medycyny wydawało mi się, że nierówność ludzi wobec choroby została zlikwidowana. Uważałam zresztą zawsze i nie zmieniałam tego poglądu do dziś, że jest coś niewyrażonego moralnie, gdy w stosunku lekarz-pacjent pojawia się pieniądz. A już zupełnie nieetyczna sytuacja powstaje, gdy od możliwości zapłacenia przez chorego uzależniona jest udzielana mu pomoc.

Nowy system cały ten kłopot miał zdjąć i z lekarza, i z chorego. Inna sprawa, że poza nawiasem tego systemu, w trudnej sytuacji znalazła się wówczas wcale nie mała część

społeczeństwa uznana za reakcję i wrogów klasowych - w latach stalinowskich formalnie skazana na zagładę: tzw. inicjatywa prywatna oraz właściciele gospodarstw wiejskich /koszmarni "bogacze wiejscy" straszący z afiszów/.

Po latach margines ten znacznie zmniejszono rozszerzając przywileje na ludność wiejską i rzemiosło.

Niech nikt dziś się nie dziwi, że byliśmy wtedy naiwni i powszechną społeczną służbę zdrowia przyjęliśmy ufnie i z radością. Chcieliśmy sprawiedliwości w sprawach zdrowia, chcieliśmy leczyć wszystkich bez wyjątku. Sądziliśmy, że wreszcie usunięte zostaną zaniedbania zdrowotne i sanitarne znane w Polsce sprzed wojny, że uniknie się wszystkich wad tak krytykowanej i przeciążonej Kasy Chorych, że - krótko mówiąc - opieka nad wszystkimi chorymi ludźmi będzie maksymalnie dobra - proporcjonalna do aktualnego stanu wiedzy medycznej.

Nie rozumieliśmy jeszcze, że taki system nie może zadziałać; po pierwsze: w ustroju, który jest demokracją /ludową?/ i socjalizmem tylko z nazwy i nie ma nic wspólnego z socjaldemokracją krajów zachodnich, po drugie - w warunkach całkowitego monopolu państwowego nie dopuszczającego do żadnych rozwiązań równoległych czy zgoła konkurencyjnych, które pozwoliłyby na porównania i zmusiły do niezbędnych poprawek; po trzecie - w sytuacji, w której sama organizacja służby zdrowia i jej formy podporządkowane są ideologii i czynnikiem politycznym.

Mimo to wszystko, wprowadzony system służby zdrowia w Polsce pierwszych dwóch dziesięcioleci powojennych miał poważne osiągnięcia i błędem byłoby tego nie dostrzegać. Rzeczywiście otwarto dostęp do lekarza i szpitali dla szerokich mas ludności, przeprowadzono szereg skutecznych akcji zwalczania wielu chorób społecznych i zakaźnych, jak np. choroby weneryczne. Rzucono spore środki do walki z gruźlicą - niemal powszechną w warunkach powojennych, pochłaniającą tysiące ofiar. Na dłuższy czas udało się gruźlicę jako chorobę społeczną opanować. Duży w tym udział miały odkrycia nowych metod leczenia tej, przed wojną właściwie nieuleczalnej choroby oraz pomoc z Zachodu w postaci szczepionek BCG, ambulansów rentgenowskich itd. Niemniej jednak rozwinięto akcję profilaktyczną, czynne były sanatoria, prewentoria dla dzieci, utworzono specjalne oddziały dla chorych na gruźlicę, kształcono personel.

Podobnie rozwinięto całkiem sensowną opiekę nad dziećmi - z profilaktyką od chwili urodzenia i nad kobietami w ciąży. Utworzono sieć izb porodowych, starając się, aby każda kobieta



rodziła pod opieką wykwalifikowanego personelu, we właściwych warunkach sanitarnych.

Trudno było przypuścić, że i w tych sprawach nastąpi wkrótce dramatyczny regres.

Nie ma sensu pisać więcej o osiągnięciach tamtego wczesnego okresu, chodziło tylko o zilustrowanie, że coś się działo pozytywnego, i że były podstawy, aby wierzyć, że przynajmniej w sprawach zdrowia wszystko będzie posuwać się naprzód w pozytywnym kierunku.

Koniec złudzeń, czyli co nastąpiło później

Złudzenia te prysnęły szybko, choć proces zahamowania postępu, co z dzisiejszej perspektywy jest nie tylko zahamowaniem, a cofnięciem się, był stopniowy. Pośród posunięć i zarządzeń władz oraz tendencji, które do tego cofnięcia przyczyniły się wymienię tylko kilka przykładowych i chyba najważniejszych.

1. Wyrzucenie ze szpitali sióstr zakonnych, z ograniczeniem ich działalności tylko do specjalnych, najtrudniejszych placówek /np. opieka nad niedorozwiniętymi dziećmi/. W miejsce zakonnice wprowadzono do szpitali pielęgniarce przyuczone w skróconym trybie, które miały wypełnić wytworzoną lukę, a nie umiały poruszać się wśród chorych, nie miały podstawowych wiadomości. Tym posunięciem załatwiono na długie lata dwie sprawy: drastycznie pogorszono pielęgnację i opiekę nad chorym oraz obniżono rangę społeczną zawodu pielęgniarzkiego.

Wraz z zakonnice zniknął wzorzec postępowania etycznego i zaginął - oby nie zawsze - etos zawodu pielęgniarzkiego. A był to wzorzec nie tylko dla pielęgniarzek, lecz także dla studentów i młodzieży lekarskiej. Do dziś na tych oddziałach, w których nadal pracują siostry zakonne wraz ze świeckimi /a trzeba powiedzieć, że mimo ogólnego nastroju terrory lat stalinowskich niektórzy profesoria - np. Manteufel, Plocker czy Łapiński stanowczo się temu oparli i nie zgodzili się na strata siostr/ opieka nad chorym, czystość i porządek są nieporównanie lepsze niż w pozostałych szpitalach.

2. Walka z tradycją lekarską - rodzinną /nieprzyjmowanie do akademii medycznych dzieci lekarskich/ i ze szkołami

lekarzskimi opartymi na autorytetach kierowników, na ogół przedwojennych /a więc "reakcyjnych"/ profesorów lub ordynatorów. Szkoły takie usiłowano rozbijać wszelkimi dostępnymi metodami. Jednocześnie zwalczano mit o szczególnym powołaniu czy roli pracy lekarza w społeczeństwie, obniżając systematycznie /przez propagandę, system nauczania i politykę płacową/ społeczny autorytet zawodu. Należy powiedzieć, że to się akurat nie udało. Mimo wielu niekorzystnych zjawisk, które zaszły zarówno w świadomości i zachowaniu samych lekarzy, jak w stosunku innych ludzi do lekarzy - zawód ten wciąż jeszcze otoczony jest społecznym szacunkiem. Można jednak poważnie obawiać się o przyszłość: wszystko zagraża temu zawodowi - groźna w skutkach demoralizacja, konieczność rekomendacji partii przy mianowaniu ordynatorów, zły system kształcenia, izolacja od medycyny światowej.

5. Kolejne posunięcia organizacyjne dotyczące struktury służby zdrowia, aż do utworzenia nieszczęsnych ZOZ-ów włącznie.

Wszystkie te posunięcia niewyrygodnie rozdały system administracji i biurokracji w służbie zdrowia, w którym to systemie personel fachowy zepchnięto na sam dół hierarchicznej drabinki, chorzy zaś stali się dla maszyny urzędniczej złem koniecznym, przedmiotem potrzebnym głównie dla celów statystycznych.

Tak np. funkcja dyrektora szpitala praktycznie zniknęła, a tzw. naczelny lekarz szpitala nie decyduje właściwie o niczym ważniejszym w szpitalu, podporządkowany jest całkowicie dyrekcji ZOZ-u. Dyrekcja ta często znajduje się dość daleko od szpitala, ma blade pojęcie o tym, co się w nim dzieje i wydaje arbitralne zarządzenia nie mające nic wspólnego z realiami. Ordynatorzy oddziałów czy kierownicy przychodni obciążeni są całkowitą odpowiedzialnością za to, co się na ich terenie dzieje, ale we wszystkim uzależnieni są od dyrekcji.

Dyrekcja ignoruje zazwyczaj wszelkie raporty o istotnych trudnościach, przesuwając pracowników, jak chce /jeden z ordynatorów szpitala na prowincji skarżył się, że nigdy nie wie, kogo z lekarzy zastanie rano w oddziale - tak często są, poza jego plecami, delegowani do innych placówek/, decyduje o liczbie personelu, szkoleniu ludzi, wyposażeniu, remontach i naprawach itd. A wszystko tonie w stosach biurokratycznych przepisów, papierkach i sprawozdaniach. W tej sytuacji zarządzenia nawet najśluszniesze, przestają nie tylko być wykonywane, ale nawet czytane. Czasem kończy się to tragicznie.



W ramach szaleństwa organizacyjnego i na pozór bardzo słusznej idei zespolonego lecznictwa doprowadzono do zupełnego absurdu system rejonizacji i przypisania chorego do określonych miejsc zgodnie z miejscem zamieszkania. Tą metodą chory z udarem mózgu czy zawałem serca, jeżeli broń Boże, zachoruje nie w swoim rejonie - wieziony jest kilkanaście kilometrów, chociaż karetka mija inny, lecz nie rejonowy szpital. O odesłaniu chorego spod drzwi lekarza w przychodnię może na podstawie adresu zdecydować rejestratorka, niezależnie od jego stanu zdrowia.

W siatce administracyjnej utykają złowieni w nią lekarze, wypadając z pracy przy chorym; czym więcej stanowisk administracyjnych - tym mniej personelu fachowego w placówkach służby zdrowia, tym więcej biurokratycznej mitręgi dla pracujących przy chorym i dla samych chorych, tym więcej straconych pieniędzy.

4. Bardzo szybko - już w pierwszej powojennej pięcioletce, rozpoczęły się drastyczne ograniczenia środków na inwestycje w służbie zdrowia. Już w latach 50-tych ówczesny minister zdrowia - J. Sztachelski, chwalił się oszczędnościami, jakich dokonał... na zdrowiu ludzkim. W późnym okresie gomułkowskim i w czasach Gierka ograniczenie funduszy na cele zdrowia spowodowało całkowitą katastrofę, trwającą do dziś i pogłębiającą się z każdą chwilą. Zlekceważono całkowicie sprawy zdrowia społeczeństwa - zabrakło łóżek szpitalnych, leków i sprzętu, a dysproporcja pomiędzy płacami w służbie zdrowia a różnymi dziedzinami produkcyjnymi lub biurokratycznymi stała się tak wielka, że trudno się dziwić, iż chętnych do pracy przy łóżku chorego po prostu brak.

Od początku lat 60-tych budowano coraz mniej nowych szpitali, z czasem przestano budować niemal zupełnie. I tak budowa jednego szpitala trwa od 12 do 20 i więcej lat. W karykaturze można powiedzieć, że gdy kończy się budowę strychu, już parter nadaje się do kapitalnego remontu /vide szpital AM w Warszawie przy ul. Banacha, gdzie po kilkunastu latach ślimaczącej się budowy oddano budynek dla interny, a chirurdzy wołają wielkim głosem, że "chirurgia wymaga szybkiego remontu"/. Na okrągło zbudowano dość szybko parę "delikatowych" obiektów, jak Centrum Zdrowia Dziecka czy obiekt szpitalny w Aninie. Szpital ten był rozrzutnie budowany na luksusową lecznicę dla członków najwyższych władz państwowych i partyjnych. Na szczęście został odzyskany "dla ludzi" jako

Instytut Kardiologii. Teraz wznosi się wspomniany już "Szpital Pomnik Matki Polki".

### Trochę przykładów

Skutki tej polityki nie dały długo na siebie czekać. Zilustrujemy tę sytuację paroma liczbami. Tak więc średnia łóżek szpitalnych w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców wynosiła w Polsce w 1983 r. 56,1, a w wielu województwach, jak np. w stołecznym województwie warszawskim - 51,3, z tendencją do dalszego zmniejszania się do 40-43 łóżek przewidywanych według oficjalnych szacunków na koniec lat 80-tych. Zaznaczmy, że Światowa Organizacja Zdrowia określa jako minimalny wskaźnik 100 łóżek na 10 tys. mieszkańców. W tym samym województwie stołecznym brakuje /w 1986 roku/ 500 łóżek położniczych i ponad 5000 łóżek szpitalnych w ogóle!

Większość łóżek szpitalnych w Polsce znajduje się w budynkach starych, roznadających się lub zaadaptowanych tymczasowo i nie nadających się na ten cel. Stan tych szpitali zagraża niejednokrotnie bezpieczeństwu chorych. Łóżka stojące są na bardzo niewielkiej przestrzeni, również na korytarzach /norma WHO przewiduje powierzchnię 12 m kw. na chorego, norma polskiego Min. Zdrowia - 6 m kw./, a w wielu szpitalach wynosi ona 3,5 do 4 m kw./, co wraz z fatalnymi warunkami sanitarnymi sprzyja zakażeniom wewnątrzszpitalnym i uniemożliwia szybkie dotarcie do chorego.

Wciąż jeszcze na wielu oddziałach, głównie psychiatrycznych, w których deficyt łóżkowy jest szczególnie duży, i pediatrycznych, kładzie się po dwóch pacjentów do jednego łóżka. Starzenie się społeczeństwa przy zupełnej niewydolności systemu opieki społecznej i braku zabezpieczenia ludzi niepełnosprawnych - powoduje konieczność hospitalizacji ludzi, którzy przy zapewnieniu właściwej opieki mogliby być leczeni w domu.

Przeładowanie do zupełnego maksimum, rozsypujące się szpitale przestały chronić chorego - same stały się źródłem różnych chorób zakażenia wewnątrzszpitalne/, wysokiej śmiertelności noworodków itp.

Do Polski powróciła gruźlica - tak więc w roku 1984 zanotowano 22527 nowych zachorowań. Na 100 tys. mieszkańców Polski przypało więc 61 nowych zachorowań, podczas gdy np. we Francji 26, w Danii 6, w pozostałych krajach Europy Zachodniej kilka,



a w NRD ok. 20. W tym roku zachorowało na gruźlicę 380 dzieci. Aż 30% ludzi w Polsce jest zakażonych gruźlicą, z czego większa część prątkuje, a więc jest potencjalnym źródłem zakażenia. Ok. 3000 ludzi w Polsce umiera corocznie na gruźlicę, co stanowi smutny rekord europejski. Niezwykle wysoki - znowu najwyższy w Europie - jest w Polsce wskaźnik zachorowań na żółtaczkę zakaźną, szczególnie jej formę przenoszoną przez wirusa A drogą pokarmową, lecz również znacznie bardziej niebezpieczną tzw. wszczepienną. Źródłem zakażeń tym typem żółtaczki są placówki służby zdrowia ze względu na brak strzykawek i igieł jednorazowych /produkcja pokrywa 45% zapotrzebowania i czynniki oficjalne nie spodziewają się poprawy/. Żółtaczka wszczepienna jest prawdziwą plagą dla chorych i dla personelu. Niedostatek środków ochronnych dla stykających się przy pracy z krwią chorych, ciasnota pomieszczeń, dziewiętnastowieczne metody sprzątnięcia i usuwania nieczystości /szmata i kubeł wody/ oraz niemożność stosowania się w tych warunkach do przepisów, czyli ich faktyczne lekceważenie doprowadziły do tego, że wszczepienne zapalenie wątroby jest powszechną chorobą wszystkich osób zatrudnionych przy chorych - od lekarzy i pielęgniarek poczynając, a na salowych skończywszy.

W kraju rozprzestrzenił się brud, a z nim zakażenia głównie przewodu pokarmowego, ukoronowane w bieżącym roku zawrotną ilością zatruc pokarmowych w czasie sławetnych "wakacji z salmonellą", którą zakażano się masowo nie w prywatnych wytwórniach lodów, lecz w ośrodkach wczasowych w eleganckich miejscowościach.

W stolicy sporego kraju środkowej Europy dzieci w szkołach mają wszy /a zdawało się, że poza tzw. marginesem społecznym można było już o nich zapomnieć/, szerzy się świerzb.

Czy można się temu dziwić, jeżeli w Polsce A.D. 1986 do sklepu po papier higieniczny ustawia się kolejka 200 osób, a kilka lat temu minister handlu wewnętrznego przekonywał publicznie, że kawałek mydła wystarcza człowiekowi na 2 miesiące?

Takie anegdotyczne historie przestają śmieszyć, gdy zestawia się je z wysoką śmiertelnością noworodków, z przytoczonymi wyżej wycinkowymi danymi o chorobach zakaźnych, z przerażeniem kobiet, które nie mają gdzie родzić, a jak już urodzą, to drżą ze strachu przed zakażeniem dziecka w oddziale, w którym na 40 noworodków jest jedna pielęgniarka;



z rozpaczą lekarzy, którzy wyciągają pacjentów z najcięższych chorób, przeprowadzają najtrudniejsze operacje, po czym chorzy ci giną z powodu zakażenia wewnątrzszpitalnego lub żółtaczki wszczepiennej.

Dramatem, który wstrząsnął opinią publiczną, była śmierć noworodków w szpitalu we Włocławku po przetoczeniu im zakażonej albuminy /szczegółowy opis wydarzeń i przyczyn: Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej nr 5, 1985 r. oraz liczne artykuły w prasie oficjalnej/.

Wydarzenie to ujawniło wszystkie tragiczne niedostatki naszej opieki zdrowotnej: fatalny stan sanitarny /czego nie raczyły zauważyć od lat miejscowe władze informowane przez pracowników szpitala/, przepełnienie oddziałów, brak i nieokształcenie personelu, nieprzestrzeganie przepisów dotyczących postępowania z płynami infuzyjnymi, nierealnych wobec stałego ich niedoboru.

Poza procesem sądowym nie wyciągnięto z tego wydarzenia żadnych praktycznych wniosków - owszem, zamknięto na długie oddziały położniczy wojewódzkiego szpitala. Na braki odpowiedzialne jeszcze większym brakiem. Minister zdrowia wygłosił kazanie w telewizji, winę /niewątpliwą zresztą/ lekarzy i pielęgniarek widział, odpowiedzialności resortu za ten skandal nie zauważył.

Czas przyjrzeć się drugiej stronie medalu. Czy za wszystko, co się dzieje w naszej opiece zdrowotnej winę ponoszą wyłącznie władze, szkodliwe posunięcia finansowe i wadliwa organizacja, a personel służby zdrowia to rycerze bez skazy walczący o dobro chorego? Oczywiście tak nie jest. Pośród ogromu bałaganu, bezprawia i demoralizacji ludzie w białych fartuchach nie pozostali na izolowanej wyspie, podlegali tym samym wpływom i naciskom, jak inne grupy zawodowe. Analiza sytuacji etycznej naszego środowiska to materiał na inne obszernie opracowanie.

Faktem jest, że z tą etyką dzieje się źle i coraz gorzej. Wprawdzie wciąż jeszcze środowisko lekarskie wychodzi zwycięsko z najcięższych prób. Trudno znaleźć w innych grupach zawodowych przykłady takiego poświęcenia w pracy, rezygnacji z życia osobistego i nadludzkiego wysiłku, jak wśród lekarzy i pielęgniarek, ale coraz częściej stać już nas tylko na zryw w sytuacjach szczególnych. Na co dzień - co najdotkliwiej odczuwają chorzy - demonstrowane są postawy obojętności, lekceważenia i znecierpliwienia, traktowanie ludzi chorych jak uciążliwe przedmioty, niejednokrotnie nawet brutalnie. Jak złośliwa zaraza szerzy się zjawisko brania /i żądania/ pieniędzy od chorych za wszystko - od podania basenu przez salową do porady ambulatoryjnej,

za leczenie w szpitalu lub wykonanie operacji przez lekarzy szeregowych i wybitnych profesorów, przy czym nie ma to nic wspólnego z praktyką prywatną.

Zjawisko to /wieść gminna niesie, że opłaty coraz częściej uiszczane są w "zielonych"/ jest na pewno demonizowane, często wyolbrzymiane w określonych celach przez propagandę oficjalną, ale ono istnieje i czas przestać udawać, że o tym nie wiemy.

Do tego wszystkiego dochodzi poddawanie się najgłupszym i najszkodliwszym dla chorych przepisom /np. ciężko chorzy, lecz z innego rejonu, więc nie wolno ich przyjąć/ lub przeciwnie, omijanie po cichu wszelkich przepisów /przykład ze szpitala we Włocławku/ oraz zwykłe nieuctwo. Jeszcze niedawno można było powiedzieć bez przesady, że mimo wszelkich niedostatków lekarze polscy są solidnie wykształceni, a szerokimi horyzontami wiedzy odbijają korzystnie od nowoczesnych, lecz wąsko wyspecjalizowanych kolegów na Zachodzie. Obecnie i w tej dziedzinie obserwuje się fatalne pogorszenie. Słyszysz się żenująco wypowiedzi, a brak wiedzy owocuje w tragicznych skutkach: błędnym leczeniu, nieumiejętności przeprowadzenia podstawowej diagnostyki, przesyłaniu chorych do niezliczonej ilości specjalistów. Zanim chory tę wędrówkę zakończy, na skuteczne leczenie bywa już za późno, tym bardziej, że nikt nie próbuje wyciągnąć syntetycznego wniosku z zabranych danych i ogarnąć całości schorzenia.

Muszę podkreślić grubą kreską - przedstawiam tu z konieczności schematycznie tendencje, złe drogi, na które wchodzi lub jest wpychana spora część środowiska. Niech nikt nie czuje się niesłusznie posądzony lub skrzywdzony. To, że wielu z nas dobrze pracuje, a nawet jeszcze lepiej, dokonując rzeczy zdawałoby się niemożliwych, nie może nam przesłaniać faktu, że zaczyna się dziać źle i że trzeba temu zapobiec.

Dlaczego tak się dzieje?

Jeżeli powiedzieliśmy, że pracownicy służby zdrowia nie są ani tak nadzwyczajni, jak byśmy tego pragnęli i jak o sobie mówimy, ani tak źli, jak o nas czasem mówią i jak by to wyglądało z tego skrótu w poprzednich kilku akapitach, to znów wypada się zastanowić, jakie są korzenie tych wszystkich negatywnych zjawisk.

I znowu muszę podkreślić - mówię o przyczynach, a nie szukam usprawiedliwienia. W moim największym przekonaniu nic bowiem nie



usprawiedliwia żadnego nieetycznego postępowania lekarza, pielęgniarki czy jakiegokolwiek człowieka, któremu powierzona jest opieka nad chorym. Nie wolno nigdy i pod żadnym pozorem godzić się z brakiem poszanowania godności człowieka, a tym bardziej człowieka słabszego, jakim jest człowiek chory.

Lekceważenie ludzkiej godności jest zawsze karygodne. W systemie stworzonym w naszym kraju poniżani jesteśmy w mniejszym czy większym stopniu na każdym kroku, poczynając od wszystkich urzędów, a kończąc na sklepach czy tramwajach. Przykro, że wierząc, iż jako jednostki nic właściwie nie znaczymy, zaczęliśmy poniżać się nawzajem. Najboleśniej, że włączyła się w to służba zdrowia.

Stało się to niepostrzeżenie. Z jednej strony jest to wpływ ogólnych warunków życia. Z drugiej, opisane wyżej niedoinwestowanie, czyli nędza placówek służby zdrowia, upadek bazy. Jeżeli lekarze przez lata zmuszeni są do leczenia chorych w warunkach urągających wszelkim podstawowym prawom człowieka, przestają na te warunki reagować, przyzwyczajają się, a przed zarzutami chorych bronią się agresją skierowaną w niewłaściwym kierunku. Studenci, kształceni w takich samych warunkach w klinikach, nie zdają sobie sprawy, że powinno być inaczej.

Wszelkie próby interwencji i walki z istniejącą sytuacją przypominają walenie głową o mur, przy czym można tylko samej sobie nabić guza. Niewielu wystarczy energii i hartu ducha, aby nie poddać się ogólnemu nastrojowi niepomóżności. Większość macha ręką i godzi się ze wszystkim. Trudno uświadomić sobie, że zgoda na panujący obecnie system prowadzi w nieunikniony sposób do dalszego pogorszenia. Na tę bierność liczą kolejne szczeble władz. Jeżeli staje się coś złego, wybucha skandal, nie władze ponoszą odpowiedzialność, lecz ci, którzy uczeni-ście pracując zgodzali się i przez to stali się winni.

Przyczyną coraz gorszego wykształcania lekarzy jest wiele, można wymienić tu: rozbitcie tradycyjnych szkół lekarskich, przy wyrażnie niższym poziomie nauczania studentów; zorganizowanie pracy lekarza tak, że nie ma on czasu ani motywacji do dalszego doksztalcania się. Zresztą doksztalcanie utrudnia, a nawet uniemożliwia zupełny brak przepływu informacji - prenumerata polskich czasopism lekarskich jest ograniczona z powodu bardzo niskich nakładów, podręczniki przestarzałe już w chwili pojawienia się w księgarniach, a dostęp do piśmiennictwa światowego kurczy się coraz bardziej. Drastycznie



zmniejszono bowiem ilość sprowadzanych z Zachodu książek i czasopism, co przy praktycznej niemożności szybkiego uzyskania wykazu tytułów z interesującej dziedziny i kserokopii potrzebnych artykułów odcina skutecznie ogół lekarzy od medycyny światowej. Warunki, w których przychodzi polskiemu lekarzowi pracować, też nie stanowią bodźca do poznawania nowoczesnych zdobyczy nauki, bo nie stwarzają żadnych perspektyw na praktyczne ich zastosowanie.

### Powszechna i bezpłatna

Na tle przedstawionego wyżej opłakanego stanu opieki zdrowotnej na drwinę zakrawa pojęcie jej powszechnej dostępności. Wbrew założeniom i wbrew temu, co powtarza propaganda - dostępność do świadczeń służby zdrowia skurczyła się znacznie. Jeżeli brak łóżek szpitalnych, to nie każdy, komu jest to potrzebne, dostanie się do szpitala. Z kolei nie każdy, kto się dostanie, uzyska właściwą pomoc, brak bowiem aparatury, przeszkadzają kolejne awarie, nie ma leków.

I oto w kraju, w którym powszechność opieki zdrowotnej należy do podstawowych założeń ustrojowych, ludzie, aby uzyskać właściwą pomoc, zaczynają ją sobie "załatwiać". "Załatwiam sobie szpital", "załatwiam sobie leki" - słyszym wokół. Uruchamia się system znajomości, protekcji, nacisków z góry, co oczywiście nie dla wszystkich jest możliwe. Człowiek załatwiony normalną drogą, niejako "z ulicy", szybko i w pełni, jest tym zaskoczony, zazwyczaj przeprasza, że zawraca głowę, nie dowierza, że to w ogóle jest możliwe.

Mitem stała się bezpłatność opieki zdrowotnej. Rozpowszechnienie korupcji i tzw. "czarnej praktyki" spowodowało, że chorzy i ich ródziny coraz częściej płacą za wszystko, co im się teoretycznie należy bezpłatnie. Można by powiedzieć, że jest tylko sprawa nieuczciwości ludzkiej, że po prostu winni są ci, co te pieniądze przyjmują lub wręcz ich żądają. Oczywiście tak - jest to obrzydliwe moralnie, nieuczciwe i godne potępienia. Warto zastanowić się jednak, dlaczego zdziwienie wywołują te zespoły lekarskie i ci ludzie, którzy tych "honorariów" nie przyjmują. Dlaczego z ust do ust podaje się wiadomość, że na takim to a takim oddziale lekarze "nie biorą", a do jakiegoś ambulatorium można się dostać bez znajomości, specjalnych skierowań, telefonów i pieniędzy? Dlaczego zaczynają to być sytuacje wyjątkowe?

Można to wyjaśnić stosunkowo prosto. Korupcja i protekcjonizm są nieodłączną cechą systemów totalitarnych. Pojawiają się tam, gdzie rygor, przepisy i biurokracja krępują wszelką inicjatywę - gdy wykluczona jest jakakolwiek konkurencja i uniemożliwiany ludziom wolny wybór.

Tzw. społeczna służba zdrowia jest własnością aparatu państwowego i państwo jest w tej dziedzinie /jak i w wielu innych/ całkowitym monopolistą. Przy tym monopolistą niedoskonałym. Powstają wszelkie warunki do demoralizacji - po stronie personelu: obojętność, brak perspektywy istotnego wpływu na bieg wydarzeń i na poprawę własnego losu, ze strony chorych - nadzieja na wciśnięcie się za pomocą monety w istniejące luki i stworzenie sobie w chorobie nieco lepszych warunków.

"Opiekunicy" system państwowy okazał się nieskuteczny. Jeżeli nawet odrzucimy całą sprawę łapówek i nielegalnych opłat /ciągle budżę się, że jest to jednak tylko margines środowiska/, to pozostaną inne wydatki przekreślające bezpłatność opieki zdrowotnej. Od lat coraz gorsze jest zapatrzenie w leki, a od pięciu wręcz skandaliczne. Zbyt dużo już o tym napisano, żeby jeszcze raz powtarzać. Dość powiedzieć, że braki sięgają 50-60, a w niektórych rodzajach leków 90% zapotrzebowania. Gdy w całej Polsce brakuje leków przeciwnowotworowych stanowiących jedyną szansę ocalenia życia, chorzy wydają już nie tysiące złotych, lecz setki tysięcy, aby takie leki zdobyć - w praktyce sprowadzić z zagranicy: a więc kupić dewizy na czarnym rynku, żeby ktoś z wyjeżdżających zagranicę je kupił. Bezpłatne leczenie?!

Okazuje się, że nie jest to tylko nasz problem. Oto, co piszą rzecznicy Karty 77 na temat bezpłatnej opieki nad zdrowiem w Czechosłowacji w obszernym dokumencie pt. "Zdrowie jest składnikiem prawa do życia" /wg Spectatora nr 12/:

"Bezpłatność opieki zdrowotnej jest hasłem propagandowym, po które sięga się nieustannie. Do znudzenia słyszymy, że 'nasze państwo wydaje wielkie sumy na bezpłatną opiekę zdrowotną'. Obywatel może zapytać, co to takiego to państwo, które wciąż mu coś daje, i skąd bierze na to pieniądze, czy to naprawdę prezent, za który należy się wdzięczność? A może sumy te gromadzą się dzięki wynikom pracy nas wszystkich i częściowo z podatków, potrącanych nam przy wypłatach?"

Medycyna jest bardzo droga; nowoczesne leczenie niezwykle kosztowne, ale może nie byłoby dla nas aż tak niedostępne,



gdyby nie miliardy rzucane w błoto w postaci nieprzemysłanych inwestycji, zmarnowanych pomysłów, kosztów aparatu biurokratycznego i policyjnego, zniszczonego środowiska naturalnego.

Może medycyna polska funkcjonowałaby inaczej, gdyby nie zasadnicze błędy i ograniczenia sztucznie narzuconego systemu. Dowodzi tego również cytowany przed chwilą dokument. W Czechosłowacji bowiem - choć jest bogaciej, choć baza lepsza - działają te same mechanizmy, które doprowadziły do tych samych skutków. Posłużmy się słowami dokumentu Karty 77 jako podsumowaniem:

"Tak więc konsekwentnie powołaliśmy do życia system, który w sobie samym kryje przyczyny złego funkcjonowania. W prapoczątkach mógł być uważany za wyraz postępu i działać zadowalająco. Z biegiem lat jednak katastrofalnie kumuluje następstwa owych wbudowanych wąż usterek systemowych, powoduje przerost biurokratycznych nonsensów... Okazuje się, że system z jednej strony ogranicza wolność i krepuje inicjatywę jednostki, a z drugiej strony nie może zadowolić także szerokich kręgów społeczeństwa ani zaspokoić abstrakcyjnego interesu społecznego. Pracownik służby zdrowia stał się działaczem i funkcjonariuszem publicznym, w znacznym stopniu siłą administracyjną, człowiek cenny zaś - przedmiotem popychanym z jednej placówki do drugiej... Problem czechosłowackiej służby zdrowia rzeczywiście stanowi odzwierciedlenie kryzysu całego systemu i panujących stosunków ideologicznych. /.../ Lepszych perspektyw dla zdrowia poszczególnych ludzi niepodobna oddzielić... od naprawy systemu, który uczynił z człowieka jedynie niezbyt ważny i w istocie niepożądany dodatek do abstrakcyjnych praw swego funkcjonowania".

## Przyszłość

Nasi czescy koledzy mają rację pisząc o niemożności zmiany sytuacji w ochronie zdrowia bez naprawy systemu. Jednocześnie jednak wiedzą o znikomych możliwościach tej naprawy wobec - jak stwierdzają - braku kontroli społecznej. Wydaje mi się, że to nas różni. Wbrew wszystkiemu dzięki 16 miesiącom "Solidarności" uruchomiony został w naszym kraju rzeczywisty mechanizm kontroli społecznej. Mechanizm nie ujęty w formy organizacyjne, nie zawsze uświadamiany sobie przez tych, którzy tę kontrolę winni pełnić, ale nie do zignorowania przez władze. Otwiera to jakąś perspektywę.

Poprawa istniejącego stanu rzeczy w obrębie systemu skostniałego w swych zasadach, przy tak katastrofalnych zaniedbaniach



i ogólnym bałaganie jest prawie niemożliwa, a w każdym razie nie mogłaby nastąpić szybko. Można jednak i trzeba dążyć do stworzenia rozwiązań niezależnych od istniejącego systemu prowadzących do decentralizacji zarządzania placówkami służby zdrowia, a realnie służących ludziom i ich zdrowiu.

Do takich rozwiązań można by zaliczyć rozwój prawdziwej spółdzielczości lekarskiej. Obecne spółdzielnie są nimi tylko z nazwy - ani ich rzekomi udziałowcy, czyli lekarze, nie są ich właścicielami, ani pacjenci nie mogą się w nich czuć naprawdę dobrze, przynoszony przez nie zysk nie jest obracany na dalszy rozwój tych placówek. Spółdzielnie takie muszą mieć sprawą organizację opartą na wzorach przyjętych w krajach zachodniej demokracji. W przyszłości winny zapewnić bezstronną pomoc pacjentowi, można myśleć również o spółdzielczych szpitalach, a nie tylko ambulatoriach w nędznych, nie urządzonych pokojach. Nie będzie żadnym uderzeniem w podstawy ustroju, jeżeli koszty leczenia w takiej spółdzielczej placówce lub ich część będą zwracać ubezpieczenia społeczne.

Podobne placówki lecznicze mogłyby powstać w oparciu o Kościół katolicki i w dużej mierze przezeń administrowane. W otoczeniu takich placówek wykorzystane by były inicjatywy osób świeckich skupionych wokół kościołów, co miało by olbrzymie znaczenie wychowawcze i społeczne.

Różne formy organizacyjne istniejące obok państwowej służby zdrowia zmusza na drodze konkurencyjności do podnoszenia poziomu usług świadczonych, a także stwórzają chorym możliwość wolnego wyboru lekarza.

Realną możliwość zdobycia środków na stworzenie bazy materialnej /budynek, aparatura itd./ dla uruchomienia takich placówek dawałaby fundacja, utworzeniem której wydają się interesować niektóre instytucje zachodnie - szczególnie polonijne. ~~Wskazać przykład fundacji w Niemczech, która nie działa zgodnie z interesami państwa~~ ~~cajaco.~~

Nie ma żadnych istotnych przeszkód /poza oporem władz/, aby powstawały spółki i spółdzielnie produkujące sprzęt medyczny i niektóre leki. ~~Przed wszystkim na rynku krajowym, lecz - kto wie - może również na rynku zagranicznym~~ firmy polonijne/, co już przynosiłoby realne zyski.

Podniesienie etyki zawodowej w służbie zdrowia jest możliwe w drodze różnych działań, jak utworzenie Izb lekarskich niezależnych od władz resortowych i demokratycznie wybieralnych; czuwanie poprzez organa samorządowe nad doborem i wy-

borem kierowników placówek w służbie zdrowia i ordynatorów w oparciu o kryteria zawodowe i moralne, a nie polityczno-ideologiczne itp.

Projekty zarysowane tu są tylko przykładami pewnych inicjatyw, które mogłyby we względnie krótkim czasie przynieść wymierną poprawę. Na pewno może być ich znacznie więcej i znacznie lepszych, gdyby tylko zerwać z systemowym schematyzmem, który nie służy niczemu poza urojonymi zasadami urojonego ustroju.

Powyższy tekst ukazał się w kwartalniku "Krytyka" nr 23/24 oraz na łamach paryskiej "Kultury" /marzec 1987/ - Red.

---

## KTO PŁACI ZA UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE?

Przedstawiamy poniżej fragmenty opracowania Aleksandry Wiktorow pt. "Organizacja i finansowanie ubezpieczeń społecznych w krajach europejskich", opublikowanego w postaci poufnej broszurki Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych w ilości 250 egzemplarzy. Przedruk i wybór fragmentów dokonany został bez wiedzy i zgody autorki. Sr ółtytuły pochodzą od redakcji.

Zrezygnowaliśmy z opatrywania komentarzem wybranych fragmentów. Rzeczowy tekst wsparty liczbami przemawia sam za siebie, lepiej od jakichkolwiek omówień. Wydaje nam się, że wynika z niego jasno, że państwo nie dokłada do nas tak bardzo, jak stara nam się to wmówić, i że to my utrzymujemy budżet takich instytucji jak ZUS i płacimy nieświadomie za dotacje ubezpieczeniowe dla wojska, milicji i służby więziennej. W państwie rzekomo "nadopiekuńczym" procent wydatków na cele ubezpieczeniowe i zdrowotne jest niemal najniższy w Europie. Przeczytajcie. /Red./

## Systemy ubezpieczeń społecznych

Ubezpieczenia społeczne mają długą, już ponad stuletnią historię. Kształtowały się one różnie w poszczególnych krajach. Tym niemniej obecnie, w ostatnim dwudziestoleciu XX wieku, mają one podobny zakres we wszystkich krajach wysoko rozwiniętych.

W tych krajach przeważały tendencje do objęcia świadczeniami całej ludności, co w zasadzie zostało w Europie osiągnięte. Bez względu na różnice ustrojowe rozwijane są ubezpieczenia na wypadek starości /emerytury/, stałej niezdolności do pracy /renty inwalidzkie/, okresowej niezdolności do pracy /zasiłki chorobowe/, utraty żywiciela /renty rodzinne/, wypadku przy pracy i chorób zawodowych /zasiłki i renty inwalidzkie z tego tytułu/. We wszystkich krajach występują też świadczenia dla rodzin - zasiłki macierzyńskie, porodowe i rodzinne. Jedynie ubezpieczenie na wypadek bezrobocia różni zakres świadczeń krajów kapitalistycznych i socjalistycznych. Zajmuje ono ważne miejsce w tych pierwszych, podczas gdy w tych drugich ustawodawstwo przewiduje takie świadczenia tylko na Węgrzech i w Bułgarii.

Mimo prawie jednakowego zakresu świadczeń istnieją znaczne różnice między rozwiązaniami stosowanymi w poszczególnych krajach. Ogólnie biorąc można wyróżnić trzy zasadnicze typy ubezpieczeń społecznych, wynikające przede wszystkim z historii ich rozwoju i innego podejścia do nich w różnych krajach.

Pierwszy typ, który rozpowszechniony jest w Europie kontynentalnej, nawiązuje do ubezpieczeń gospodarczych, oparty jest w głównej mierze na składkach ubezpieczeniowych.

Drugi typ, rozpowszechniony w krajach skandynawskich i w Wielkiej Brytanii, nawiązuje do opieki społecznej i uznaje potrzebę zagwarantowania minimalnych środków utrzymania tym wszystkim, którzy sami nie mogą ich sobie zapewnić. Ten typ, w przeciwieństwie do pierwszego, nie jest oparty na składkach, lecz przeważa w nim zasada zaopatrzeniowa i opiekuńcza.

Trzeci typ ubezpieczeń społecznych występuje w krajach socjalistycznych, opiera się na planowym podziale dochodu narodowego.

Różnorodność systemów ubezpieczeń społecznych najbardziej uwidacznia się w podejściu do sposobów zapewnienia środków utrzymania ludziom starym i niezdolnym do pracy, tzn. emerytom i rencistom. W krajach europejskich prawo do emerytury i renty mają wszyscy czynni zawodowo. W wielu krajach zachodnich emerytury i renty otrzymują również osoby, które nie były czynne zawodowo. W tych krajach wszyscy obywatele /a czasami wszyscy mieszkańcy, pod warunkiem, że w danym kraju mieszkali określoną liczbę lat/, po osiągnięciu określonego wieku /lub od momentu stania się inwalidą/ otrzymują tzw. renty państwowe, nazywane też krajowymi, powszechnymi lub uniwersalnymi. Rent-



takie istnieją w Danii, Finlandii, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i Wielkiej Brytanii. W niektórych z tych krajów renta państwowa jest w całości finansowana przez państwo /Dania, Finlandia, Szwecja/, w pozostałych zaś mieszkańcy muszą płacić składki ubezpieczeniowe.

Oprócz renty państwowej, która jest świadczeniem roszczeniowym, występuje w Europie również drugi typ renty niezależnej od pracy, tzw. renta socjalna. Świadczenie to ma charakter uznaniowy i przysługuje osobom, które osiągnęły określony wiek i nie mają żadnych innych źródeł utrzymania. Tego typu renty są w Czechosłowacji i we Włoszech dla osób, które ukończyły 65 lat oraz w Bułgarii dla osób ponad 70-letnich. Wysokość rent obu typów, tj. państwowej i socjalnej, jest jednako- wa dla wszystkich je pobierających w danym kraju.

Niezależnie od rent państwowych, we wszystkich krajach europejskich istnieją systemy obowiązkowego ubezpieczenia emerytalnego i rentowego pracowników, emerytura i renta są wówczas zależne od spełnienia określonych warunków. Emerytura - od stażu pracy i wieku, renta inwalidzka - od stopnia utraty zdolności do pracy oraz stażu pracy. Wysokość tych świadczeń jest prawie we wszystkich krajach obliczana /na bardzo różnych zasadach/ od osiągniętych zarobków w okresie przedemerytalnym. Czasami są to waloryzowane zarobki całego okresu zatrudnienia, czasami zarobki z okresu 5-10 lub mniejszej liczby lat poprzedzających moment spełnienia warunków do przyznania świadczenia. Wysokość emerytury i renty zależna jest też od liczby lat pracy lub ubezpieczenia, powiększana jest także często o różnego rodzaju dodatki, np. renty inwalidzkie o dodatki pielęgnacyjne, a wszystkie świadczenia o dodatki na osoby utrzymywane. Bywają też dodatki dla osób, które osiągnęły określony wiek /znacznie wyższy od wieku emerytalnego/ oraz dla osób mających szczególnie niskie dochody.

Ponadto we wszystkich krajach kapitalistycznych rozwinięte są prywatne systemy ubezpieczeń emerytalno-rentowych /na zasadach czysto ubezpieczeniowych/. Korzystanie z nich jest dobrowolne, ale również może wynikać ze zbiorowych układów pracy; jest wówczas obowiązkowe dla konkretnego zawodu, branży czy też zakładu pracy. Ubezpieczeniami prywatnymi objętych jest w poszczególnych krajach od 30 do 85% zatrudnionych.

Jak widać, w kilku krajach zachodnich pracownicy otrzymują świadczenia obligatoryjne z dwóch systemów jednocześnie, a mogą także korzystać z trzeciego systemu. W krajach socjalistycznych

jedynie w NRD i w Rumunii istnieją ubezpieczenia emerytalne dobrowolne, dla osób, których zarobki przekraczają określony poziom; nie są to ubezpieczenia prywatne, lecz należące do systemu ubezpieczeń powszechnych. Status ubezpieczeń emerytalnych dobrowolnych uzależniony jest ściśle od poziomu inflacji lub realnej wycenności.

W obszarze obowiązkowych ubezpieczeń emerytalno-rentowych istnieje na ogół kilka osobnych systemów dla poszczególnych grup zawodowych, chociaż zawsze systemem powszechnym objęta jest przeważająca liczba zatrudnionych. Systemy te różnią się szczegółami dotyczącymi wieku emerytalnego, stażu pracy, dodatków za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Często również system powszechny przewiduje zróżnicowanie uprawnień między grupami zawodowymi. Dla zobrazowania różnic występujących między rozwiązaniami stosowanymi w różnych krajach europejskich przedstawione będą grupy zawodowe mające odrębne uregulowania /określone oddzielnymi dla każdej z tych grup przepisami/ ubezpieczenia emerytalno-rentowego:

Polska - górnicy, kolejarze, wojsko, milicja i służba więzienna, rzemieślnicy, agenci, osoby pracujące na własny rachunek, nauczyciele, twórcy, pracownicy rolniczych spółdzielni produkcyjnych, rolnicy indywidualni;

Czechosłowacja - członkowie spółdzielni rolniczych, rolnicy indywidualni i inne osoby pracujące na własny rachunek;

NRD - górnicy, kolejarze, pocztowcy, pracownicy spółdzielni, osoby pracujące na własny rachunek;

ZSRR - członkowie spółdzielni rolniczych;

Jugosławia - rzemieślnicy, wolne zawody, artyści,

Austria - górnicy, notariusze, służby publiczne, rolnicy indywidualni;

Belgia - osoby pracujące na własny rachunek i służby publiczne;

Francja - robotnicy rolni, górnicy, kolejarze, służby publiczne, marynarze, pracujący na własny rachunek w rolnictwie i poza rolnictwem;

Grecja - robotnicy rolni i pracujący na własny rachunek;

Norwegia - marynarze, rybacy, robotnicy leśni, kolejarze, służby publiczne;



NER - osoby pracujące na własny rachunek, górnicy, farmerzy, służby publiczne;

Szwecja - służby publiczne,

Włochy - marynarze, kadra kierownicza w przemyśle, wolne zawody, kolejarze, pracownicy transportu powietrznego, służby publiczne, dziennikarze, pracujący na własny rachunek rzemieślnicy, kupcy, farmerzy, urzędnicy państwowi.

Jak widać, grupy zawodowe korzystające z innych systemów niż powszechny są dość zróżnicowane w poszczególnych krajach.

Zróżnicowania, choć nie tak wielkie, jak w przypadku świadczeń emerytalno-rentowych występują również w innych rodzajach ubezpieczeń: chorobowych, rodzinnych, wypadkowych. W jednym kraju nie ma na ogół obok siebie kilku systemów ubezpieczeń jednego rodzaju. Pracownicy korzystają z jednego typu świadczeń, chociaż możliwe są w niektórych krajach także dobrowolne ubezpieczenia dodatkowe. Iniejsze są też zróżnicowania między grupami zawodowymi, a odrębne systemy ubezpieczeń niekoniecznie obejmują tych samych pracowników, co w przypadku emerytur i rent. Przykładem mogą być Włochy, gdzie z zasiłków chorobowych i macierzyńskich korzystają wszyscy zatrudnieni według jednego systemu ubezpieczeń chorobowych, odrębny system ubezpieczeń z tytułu choroby zawodowej lub wypadku przy pracy istnieje tylko dla marynarzy, natomiast w przypadku emerytur i rent, grup zawodowych korzystających ze specjalnych systemów jest bardzo wiele.

Rozpatrując problem dostępności ubezpieczeń społecznych można podzielić je na takie, z których korzystają wszyscy mieszkańcy jednego kraju i na takie, z których korzystają jedynie osoby zatrudnione.

W krajach socjalistycznych w zasadzie wszyscy mieszkańcy mogą korzystać w powszechnej służbie zdrowia /w NRD i Jugosławii zatrudnieni oraz emeryci i renciści/. Ponadto w NRD i ZSRR wszyscy mieszkańcy uprawnieni do zasiłków rodzinnych na dzieci /choć w ZSRR zasiłki rodzinne przysługują dopiero od czwartego dziecka/. Dla pozostałych rodzajów ubezpieczeń niezbędne jest we wszystkich krajach socjalistycznych zatrudnienie.

W krajach zachodnich, jak już było wspomniane, wszyscy mieszkańcy uprawnieni są do rent i emerytur państwowych /w Danii, Finlandii, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i Wielkiej Brytanii/. W innych krajach renty i emerytury /w wymienionych wyżej krajach również drugi typ tych świadczeń - zależne od pracy/

przysługują osobom zatrudnionym. Wszystkim mieszkańcom wypłacone są zasiłki rodzinne w Austrii, Danii, Finlandii, Francji, Holandii, Norwegii, NEM, Szwecji i Wielkiej Brytanii. Zasiłki rodzinne na dzieci powiązane są z zatrudnieniem rodziców w Belgii /choć tam przysługują również osobom ubezpieczonym, niezależnie od zatrudnienia/, Grecji, Hiszpanii, Portugalii, Szwajcarii i we Włoszech. Bezpłatna służba zdrowia, niezależna od zatrudnienia przysługuje wszystkim mieszkańcom Danii, Finlandii, Holandii, Norwegii, Portugalii, Szwajcarii /ubezpieczeni - 90% ludności/, Szwecji, Włoch i Wielkiej Brytanii. W innych krajach z bezpłatnej służby zdrowia korzystać mogą zatrudnieni, emeryci i renciści. Pozostałe rodzaje ubezpieczeń i zasiłki chorobowe, macierzyńskie, dla bezrobotnych i świadczenia z tytułu chorób zawodowych i wypadków przy pracy, powiązane są ściśle z zatrudnieniem, stają się bowiem ekwiwalent utraconych zarobków.

Podsumowując, można stwierdzić, że jedynie w Belgii, Grecji i Hiszpanii wszystkie rodzaje ubezpieczeń przysługują tylko osobom zatrudnionym /bądź również emerytom i rencistom - służba zdrowia i zasiłki rodzinne/. Najbardziej zaś powszechne jest ubezpieczenie społeczne w Danii, Finlandii, Holandii, Norwegii, Szwecji i Wielkiej Brytanii, w których to krajach trzy rodzaje ubezpieczeń przysługują wszystkim mieszkańcom.

Zasady wymiaru świadczeń kształtują się w zależności od sytuacji gospodarczej kraju, ale też przy ich ustalaniu ustawodawca ma na uwadze konieczność zapewnienia godziwych warunków życia osobom, których podstawą utrzymania są świadczenia z ubezpieczeń społecznych. Dlatego też większość świadczeń w krajach Europy Zachodniej ma wymiar parametryczny, a nie kwotowy, a same świadczenia /przede wszystkim renty i emerytury/ są corocznie lub nawet częściej waloryzowane zgodnie ze wzrostem cen, płac lub kosztów utrzymania. Chodzi o to, aby zapewnić emerytom i rencistom stały, określony poziom życia w porównaniu z pracującymi. Tym samym spowodowane jest wypłacanie rent i emerytur 13 lub 14 razy w roku.

W krajach socjalistycznych świadczenia nie są na ogół ustalane parametrycznie, chociaż w Polsce nowa, obowiązująca od 1983 r. ustawa emerytalna zawiera kilka takich rozwiązań. Do tej pory nie funkcjonuje, w wyjątkiem Jugosławii, system stałej waloryzacji świadczeń. Załączek takiego systemu, ale nie rekompensujący wzrostu kosztów utrzymania sni wzrostu płac, istnieje na Węgrzech, gdzie przyjęto stały wzrost emery-



tur i rent o 2% rocznie, nie mniej niż 70 forintów. W przypadku znaczących ruchów cen lub płac podążywane są decyzje podwyżkach, które określane są wówczas kwotowo. W innych krajach socjalistycznych renty i emerytury podwyższane są drogą jednorazowych decyzji. Powodują to obniżenie się ich wartości w stosunku do płac. Wprowadzenia pełnej, automatycznej waloryzacji rent i emerytur od 1986 r. w oparciu o wzrost płac przewiduje polska ustawa emerytalna.

Porównanie poziomu świadczeń z ubezpieczenia społecznego w poszczególnych krajach jest bardzo trudne. Ich wysokość jest na ogół pochodną płac /up. zasiłków chorobowych, macierzyńskich, rent i emerytur, świadczeń z tytułu wypadków przy pracy i chorób zawodowych, zasiłków dla bezrobotnych/.

W krajach socjalistycznych np. przeciętna emerytura i renta w stosunku do przeciętnej płacy wynosiła w 1980 r.: w Polsce - 46,3% /płacy netto/, na Węgrzech - 56,9%, w ZSRR - 33,7%.

W krajach kapitalistycznych, ze względu na jednoczesne korzystanie z kilku systemów trudniej jest ten wskaźnik obliczyć. Przykładowo w Austrii minimalna emerytura wynosi 30% zarobków, a przy stażu pracy 30 lat - 60%, w Finlandii minimalna emerytura /renta/ zależna od pracy - 36% zarobków + renta państwowa, w Danii pełna emerytura /renta/ - 60% przeciętnej płacy, w Wielkiej Brytanii minimalna renta państwowa - ok. 23% przeciętnej płacy.

Trudne jest także porównywanie udziału wydatków ogółem na ubezpieczenie społeczne w dochodzie narodowym. Odpowiednie dane dla analizowanych krajów pochodzą z 1972 r. /tabela 1/. Są to ostatnie, w pełni porównywalne dane, zebrane w specjalnym badaniu przez Międzynarodową Organizację Pracy. Wobec tego, że ubezpieczenia mają charakter trwały i przy obowiązujących systemach /m.in. - waloryzacja świadczeń/ nie można się spodziewać spadku wydatków i można uznać te dane za aktualne. Ostatnio opublikowane dane dla EWG za 1981 r. wykazują dalszy wzrost. Łącznie z wydatkami na ubezpieczenia społeczne potraktowano wydatki na ochronę zdrowia, gdyż w wielu krajach zachodnich usługi zdrowotne są także finansowane bezpośrednio lub refinansowane z ubezpieczeń społecznych.

Tabela 1 /skrótowa/. Relacja wydatków na ubezpieczenia społeczne i ochronę zdrowia do dochodu narodowego wytworzonego w 1977 r. /w odsetkach/

Relacja wydatków do dochodu narodowego

Kraj	Relacja wydatków do dochodu narodowego		
	ogółem	na ubezpieczenia społeczne	na ochronę zdrowia
Polska	10,7	7,3	3,4
Bułgaria	15,3	11,5	3,8
Czechosłowacja	18,7	14,2	4,5
Belgia	25,6	19,5	6,1
Finlandia	18,7	14,1	4,6
Francja	25,3	19,0	6,3
Grecja	11,2	8,7	2,5
Holandia	29,4	23,2	6,2
Norwegia	23,3	14,7	8,6
Szwecja	33,7	23,6	10,1
Wielka Brytania	16,1	11,5	4,6

W najbliższych latach nie przewiduje się wprowadzenia nowych rodzajów świadczeń ani rozszerzenia zakresu już istniejących. Przewidywane jest jedynie wprowadzenie od 1986 r. reformy emerytur i rent, natomiast inne świadczenia pozostaną nadal w niezmienionej wysokości, ustalonej w ciągu ostatnich lat. Wzrost wydatków na ubezpieczenia może więc w najbliższych latach odbywać się tylko w wyniku ewentualnej większej liczby pobierających świadczenia /np. emerytury/, ale z drugiej strony będzie on hamowany zasadami przyznawania świadczeń. W związku z tym można twierdzić, że udział wydatków na zabezpieczenie społeczne w dochodzie narodowym nie będzie wzrastał. Licząc niemy więc krajem, w którym relacje tych wydatków do dochodu narodowego będą nadal jednymi z najniższych w Europie.

**Kto finansuje ubezpieczenia społeczne**

Pokrywanie wydatków na ubezpieczenia społeczne tylko z jednego źródła jest na obecnym etapie rozwoju świadczeń społecznych praktycznie niemożliwe. Dlatego też we wszystkich krajach uczestniczą w finansowaniu ubezpieczeń co najmniej dwa podmioty: pracodawca i państwo, a często również i trzeci podmiot - pracownicy. Daje się zauważyć różnice w podejściu do finansowania ubezpieczeń społecznych w krajach socjalistycznych i kapitalistycznych. W większości tych pierwszych /Polska,



Bułgaria, Czechosłowacja, Rumunia, ZSRR/ pracownicy nie wnoszą składek.

Natomiast we wszystkich krajach Europy Zachodniej, a także w NRD, na Węgrzech i Jugosławii pracownicy uczestniczą w sposób bezpośredni w pokrywaniu wydatków na ubezpieczenia. Drugą istotną różnicą jest określenie wysokości składki w krajach socjalistycznych - dla pracodawcy - wyznaczony jest tylko jeden wymiar składki z przeznaczeniem na wszystkie rodzaje ubezpieczeń, w krajach kapitalistycznych - dla pracowników i dla pracodawców oddzielnie - różne są wymiary składek na poszczególne rodzaje ubezpieczeń.

Składka w jednym wymiarze, z przeznaczeniem na wszystkie świadczenia obowiązuje w Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, na Węgrzech, w ZSRR, Norwegii i Wielkiej Brytanii. W pozostałych krajach składki są zróżnicowane w zależności od rodzaju ubezpieczenia. Najwyższe składki, chociaż nie wszędzie, przeznaczone są na emerytury i renty. Wynoszą one od 4,7% funduszu płac w Szwajcarii do 28% funduszu płac w Polsce oraz do 16,925% funduszu płac w Finlandii. Składka na ubezpieczenia chorobowe najniższa jest w Austrii /2,5% za pracowników umysłowych, ale już 6,95% za fizycznych/, najwyższa zaś w Holandii /13,6% oraz we Włoszech /10,63 - 13,97%. Składki na świadczenia z tytułu wypadków przy pracy i chorób zawodowych tam, gdzie są płacone procentowo, mieszczą się w przedziale od 0,6 do 18%, z tym, że duże różnice występują nawet w poszczególnych krajach /Hiszpania - 0,9 - 18%; Finlandia - 0,3 - 12%; Włochy - 0,6 - 16%. Wynika to z uzależnienia wysokości składki od stopnia ryzyka, dla pracowników umysłowych są w związku z tym niskie, zaś dla zawodów szczególnie niebezpiecznych i dla pracowników zatrudnionych w warunkach uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia - wyższe.

Najmniejszą różnicowanie zaobserwować można w wysokości składek na zasiłki dla bezrobotnych. Waha się ono od 0,25% funduszu płac w Szwajcarii i 0,4% w Finlandii i Szwecji do 3% w Portugalii i 3,48% w Hiszpanii. Składki, które wnosi najmniejsza liczba pracodawców - na zasiłki rodzinne, są dość różne: od 1% w Grecji i 1,9% w Holandii do 7% we Francji i 7,25% w Belgii.

Ogólna wysokość składki wpłacanej na ubezpieczenia społeczne przez pracodawców jest trudna do przedstawienia, gdy na niektóre rodzaje świadczeń składki są kwotowe bądź

też pracodawca ponosi pełne koszty określonych zasiłków.

W krajach, w których takie sumowanie jest możliwe, najniższe składki wnoszą pracodawcy w ZSRR /4,4 - 9% i Szwajcarii /6,35 - 8,45%/. Zdecydowania najwyższe są w Polsce - 43%, chociaż co prawda możliwe są składki w wysokości 49,62% w Hiszpanii, ale też w tej ostatniej części zakładów płaci 32,52% /przeciętna składka wynosi 36,62% funduszu płac/, podczas gdy w Polsce jednakową składkę płać wszystkie zakłady pracy. W 8 krajach składka miesięczna mieści się w przedziale od 20% do 30% funduszu płac, a największe różnice w granicach jednego kraju występują w Rumunii, w której rozpiętość, w zależności od rodzaju pracy, zawarta jest w przedziale 7 - 25% funduszu płac.

System finansowania ubezpieczeń społecznych w Polsce cechuje dość znaczne skomplikowanie i niejednorodność rozwiązań. W zasadzie można wyodrębnić dwa źródła wpływów środków na ubezpieczenia: składki i dotacje budżetu państwa. Od 1987 r. obowiązują nowe zasady finansowania ubezpieczeń społecznych. Jest utworzony tylko jeden fundusz /Fundusz Ubezpieczeń Społecznych/, z którego finansowane są wszystkie wydatki na ubezpieczenia pozarolnicze /zamiast podziału na Fundusz emerytalny i budżet ZUS/. Fundusz Ubezpieczeń Społecznych Rolników Indywidualnych pozostał bez zmian.

Głównym źródłem finansowania ubezpieczeń społecznych są składki; w 1981 r. stanowiły one 90% dochodów ogólnych ubezpieczeń, 1982 r. - 79,4%, w 1983 r. - 91%.

Poszczególne grupy społeczne objęte ubezpieczeniem opłacają składki w zróżnicowanej wysokości /podane wysokości obowiązują od stycznia 1984 r./:

za pracowników uspołecznionych zakładów pracy - 43%;  
za pracowników nieuspołecznionych zakładów pracy - ogółem 33%;  
za uczniów - 20%, za pomoce domowe opiekujące się osobami niepełnosprawnymi - 20%;  
za członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych i spółdzielni spółek rolniczych - 33% /z tego 14% płać spółdzielnie, 19% płać budżet/;  
agencji pracujący na rzecz: RSW "Prasa-Książka-Ruch" - 33%,  
PZPN i Totalizatora Sportowego - 33%, pozostałych jednostek - 25%;  
advokaci - 33%;  
rzemieślnicy i inne osoby prowadzące działalność na własny rachunek - 25% /możliwość obniżenia do 15% dla rzemieślników indywidualnych/;



twórcy i artysty - 3%

Jednocześnie zaznaczyć trzeba, że zakres świadczeń z ubezpieczenia społecznego nie jest dla poszczególnych grup ubezpieczonych jednaki. Pełnym zakresem świadczeń objęci są jedynie pracownicy uspołecznionych i nieuspołecznionych zakładów pracy /z wyjątkiem pomocy domowych oraz agentów pracujących na rzecz RSW "Prasa-Książka-Ruch"/. Świadczenia bez zasiłków wychowawczych przysługują pomocom domowym, adwokatom, i agentom pracującym na rzecz CPN i Totalizatora Sportowego. Ponadto adwokatom i członkom rolniczych spółdzielni produkcyjnych nie przysługują rekompensaty. Bardzo ograniczony zakres świadczeń mają agenci pracujący na rzecz pozostałych, poza RSW i CPN, jednostek i rzemieślnicy; nie należą im się zasiłki chorobowe w razie choroby krótszej niż 30 dni, zasiłki opiekuńcze, zasiłki wychowawcze, renty inwalidzkie III grupy z ogólnego stanu zdrowia i rekompensaty.

Artystom i twórcom przysługuje tylko zapotrzebowanie emerytalno-rentowe.

Zysk - dla ZUS-u, strata dla obywatela

Stopień pokrycia wydatków wpływami ze składek jest w poszczególnych systemach zróżnicowany.

Wpływy ze składek pokrywają z nadwyżką wydatki bez rekompensat na świadczenia w systemie ubezpieczenia społecznego pracowników.

Systemy, w których składki z nadwyżką pokrywają wydatki, obejmują ok. 82% ubezpieczonych, czyli ich zdecydowaną większość.

Rozpatrując dochody i wydatki ZUS /tzn. łącznie budżetu ZUS i funduszy celowych z wyjątkiem funduszu kombatanów/ na ubezpieczenia społeczne trzeba stwierdzić, że zawsze występowała nadwyżka wpływów ze składek nad wydatkami.

Porównanie wpływów ze składek z wydatkami na cele ubezpieczeniowe jest dość trudne. Dodatkowo komplikuje je podział składki między fundusz emerytalny i budżet ZUS. W 1980 r. np. ze sprawozdawczości ZUS wynika, że dochody funduszu emerytalnego były mniejsze od wydatków, zaś dochody budżetu wyższe od wydatków. Składki stanowiły wówczas 03,9% dochodów. Łącznie wydatki wynosiły 184,5 mld zł i przekraczały wpływy ze składek o 11,2 mld zł. Trzeba jednak pamiętać, że ogólna kwota wydatków zawiera w sobie dotacje dla funduszy celowych, np. dla

funduszu alimentacyjnego, z którego wypłat nie można zaliczyć do ubezpieczeń, dla funduszu emerytalnego rolników, jak również wypłat rent i emerytur dla wojska i milicji, na które nie wnoszą się składki oraz wydatki na renty i emerytury zagraniczne.

W 1981 r. wpływy ze składek w funduszu emerytalnym, jak i w budżecie ZUS znacznie przewyższały ogólną sumę wydatków; z samych składek powstały oszczędności ok. 17,4 mld zł /choć już wtedy zaczęto wypłacać rekompensaty, które zaliczono do wydatków ZUS/, a odliczając z budżetu ZUS dotacje dla funduszu emerytalnego rolników oszczędności te wyniosły 34,8 mld zł. Nawet doliczając wydatki na ubezpieczenia rolników i fundusz alimentacyjny składki były o 1,3 mld zł wyższe od wszystkich wydatków, a ogólne dochody przekroczyły wydatki o 22,2 mld zł.

Niezwykle trudny do rozliczenia był 1982 rok. Wówczas to rekompensaty wypłacane przez ZUS emerytom i rencistom oraz wszelkim zasiłkobiorcom wynosiły 247,5 mld zł i stanowiły 35% wszystkich wydatków, 41% wydatków budżetu ZUS oraz 29% wydatków funduszu emerytalnego. Najwyższy udział osiągnęły one w wydatkach funduszu emerytalnego rolników - 43%. Po odliczeniu rekompensat, które przecież nie mają charakteru ubezpieczeń i były przyznane wszystkim mieszkańcom, w funduszu emerytalnym wystąpiła nadwyżka składek nad wydatkami o 24,2 mld zł, zaś w budżecie ZUS wydatki były wyższe od składek o 65,4 mld zł, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że w dotacjach budżetu ZUS dla funduszy celowych 42,9 mld zł stanowiły dotacje dla funduszu emerytalnego rolników i 0,5 mld zł dla funduszu alimentacyjnego, czyli łącznie 43 mld zł. Obliczając więc saldo: 65,4 mld zł - 43,4 mld zł = 22 mld zł, co oznacza, że biorąc pod uwagę wydatki w 1982 r., z wyłączeniem rolników i rekompensat, także były one niższe od składek o 2,2 mld zł.

Pamiętać przy tym trzeba, że wydatki te obejmowały również emerytury, renty i zasiłki dla wojska i milicji oraz renty i emerytury zagraniczne.

Łącznie w 1982 r. wydatki ZUS były o 209 mld zł wyższe od dochodów, z tym, że dla pozarolniczych grup ludności o 167,5 mld zł, lecz wydatki na rekompensaty dla tych grup wyniosły 227,2 mld zł. Ogólnie składki od całej ludności pokryły 86% wydatków ZUS /bez rekompensat/.

Już w 1983 r. składki od pozarolniczych grup ludności były wyższe o 28,5 mld zł od wydatków budżetu ZUS i funduszu emerytalnego, łącznie z rekompensatami, które pochłonięły 176,4 mld zł oraz dotacjami dla ubezpieczenia rolników w wysokości 45,4

1 mld zł i dla funduszu alimentacyjnego - 1,1 mld zł. Gdyby te pozycje odliczyć z wydatków, nadwyżka składek nad wydatkami wyniosłaby - 251,4 mld zł! Trzeba tu również wyjaśnić, że mniejsza niż w 1982 r. kwota wykazanych rekompensat przy funduszu emerytalnym wynika z tego, że na skutek reformy systemu emerytalnego rekompensaty zostały włączone do wymiaru emerytur i rent. Łącznie w 1983 r. składki od całej ludności były niższe jedynie o 11,5 mld zł od wszystkich wydatków ZUS, łącznie z rekompensatami, wydatkami na renty i emerytury dla wojska i milicji oraz zagraniczne. Zaś ogólne dochody ZUS były wyższe od wydatków o 63,8 mld zł.

Trzeba też mieć na uwadze, że wydatki ZUS we wszystkich latach obejmują również koszty administracyjne utrzymania ZUS, koszty inwestycji i kapitalnych remontów.

Podsumowując problem finansowania ubezpieczeń społecznych w Polsce trzeba stwierdzić, że jest on niejasny, trudny do zrozumienia, a rozliczanie wpływów i wydatków wynikające m.in. z przyjętych zasad ewidencjonowania jest niezwykle skomplikowane. Wynika to z podziału składki na część funduszu i budżetową i odrębne ich księgowanie. Należy też mieć na uwadze, że w zasadzie, za wyjątkiem lat, w których zaszły nadzwyczajne zdarzenia, jak np. wprowadzenie rekompensat, składki zawsze pokrywały z nadwyżką łączne wydatki ponoszone na pozarolnicze grupy ludności. Można było mówić o niedoborach, gdy osobno rozliczało się budżet ZUS i fundusz emerytalny, gdyż wówczas jeden z nich mógł wykazywać saldo dodatnie, drugi saldo ujemne.

Składki nie muszą pokrywać wydatków ogólnych ZUS w 100%, przede wszystkim dlatego, że:

- wydatki na renty zagraniczne są rekompensowane wpłatami zagranicznymi,
- renty i emerytury wojska i milicji są według obowiązujących zasad finansowane z budżetu państwa,
- świadczenia z funduszu alimentacyjnego nie należą do zakresu ubezpieczeń społecznych.

Wniosek z tego, że corocznie występowały nadwyżki w dochodach ZUS, które nie były przeznaczone na pokrycie ewentualnych niedoborów /np. spowodowanych podwyżką świadczeń/ w latach następnych, lecz stanowiły dochód budżetu. Składki ubezpieczeniowe miały więc charakter fiskalny i podnoszenie ich wymiaru nie było uzasadnione koniecznością pokrywania zwiększonych wydatków.



## KATASTROFY EKOLOGICZNEJ CIĄG DALSZY

W ubiegłym roku /"Zeszyty" nr 7, marzec 1986/ zamieści-  
liśmy dwa poufne dokumenty KC partii i Polskiej Akademii Nauk  
na temat katastrofy ekologicznej w Polsce. Wracamy do tej spra-  
wy, gdyż katastrofa się pogłębia i narasta protest przeciwko  
wypiszczeniu biologicznemu narodu.

Poniżej drukujemy fragmenty kilku nadesłanych nam tekstów,  
a mianowicie informacje o powstaniu "Wielkopolskiego seminarium  
ekologicznego", artykuł o projekcie budowy elektrowni jądrowej  
"Warta", apel do Sejmu Rady Wydziału Biologii Uniwersytetu im.  
Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz materiały o Hucie Siachniewic,  
zaczepnięte z Biuletynu Ekologicznego "Zagrożenie", redagowa-  
nego przez Grupę Roboczą do Spraw Ochrony Środowiska we  
Wrocławiu /Red./.

### Wielkopolskie seminarium ekologiczne

W pogarszającej się sytuacji ekologicznej kraju, kierując  
się głosem sumienia, podejmujemy wspólny wysiłek jej popraw-  
y.

Celem naczelnym podejmowanej przez nas działalności jest  
współtworzenie - wraz z innymi pokrownymi nam grupami - społec-  
znego ruchu ekologicznego. Będziemy w działaniach społecznych  
widzimy przede wszystkim szansę powstrzymania degradacji czło-  
wieka i narodu polskiego.

Do celu dążyć będziemy dwiema równorzędnymi drogami:

- poprzez czynne występowanie w obronie rolnictwa Wielkopolski  
przeciwko aktualnym zagrożeniom ekologicznym,
- poprzez kształtowanie i podnoszenie poziomu świadomości eko-  
logicznej własnej i społeczeństwa, propagując partnerski i pe-  
łen szacunku stosunek człowieka do środowiska, w którym żyje.

Grupa nasza ma charakter otwarty, niezależny od polity-  
cznych poglądów jej uczestników.

Ze względu na nasze szczególne zainteresowanie regionem

- Wielkopolski większość sił kierować będziemy przeciwko:  
- lokalizacji budowy elektrowni atomowej we wsi Klempisz w woj.  
polskim i energetyce jądrowej w ogóle,

- lokalizacji składowiska odpadów radioaktywnych w bunkrach Międzyrzeckiego Rejonu Umocnienia w woj. gorzowskim,
- eksploatacji złóż węgla brunatnego metodą odkrywkową z pokładów tzw. rowu poznańskiego,

Ponadto zajmować się będziemy samokształceniem w zakresie tematów:

- alternatywne źródła energii /woda, wiatr, słońce, biogaz/ i ich praktyczne zastosowanie,
- rolnictwo naturalne i wytwarzanie zdrowej żywności oraz jej dystrybucja,
- doradztwo prawne.

Nasze metody działania to:

- tworzenie grup ekologicznych /EKO/ w terenie oraz nawiązywanie kontaktów z już istniejącymi, zarówno w rejonie Wielkopolski, jak i na terenie całego kraju,
- podejmowanie różnego rodzaju działań protestacyjnych przeciwko poczynaniom niezgodnym z zasadami ochrony środowiska naturalnego, także z wykorzystaniem aktualnego ustawodawstwa PRL dotyczącego tego problemu,
- organizowanie konkursów, kiermaszy, akcji ulotkowych itp. działań propagujących alternatywne źródła energii i rolnictwo biologiczne,
- cykliczne spotkania - seminaria /przeciętnie raz w miesiącu/,
- organizowanie sesji otwartych w różnych środowiskach społecznych,
- prowadzenie stałego przeglądu prasy pod kątem problematyki ekologicznej oraz kierunku działań propagandowych w tej dziedzinie,
- prowadzenie banku informacji ekologicznej w zakresie rolnictwa ekologicznego oraz alternatywnych źródeł energii dających się zastosować w polskich warunkach,
- wydawanie Informatora Ekologicznego.

Każdy, komu jest nieobojętny stan naszego środowiska, kto ma odwagę przeciwstawić się jego degradacji i kto zechce z nami współpracować, będzie z radością przyjęty.

Doc. dr hab. Kazimierz Stępczak

Projekt budowy elektrowni jądrowej "WARTA" /opracowanie oparte na doniesieniach prasowych/

Elektrownia określana mianem "WARTA" ma być drugą po Żarnowcu

elektrownią jądrową w Polsce. Początkowo miała być zlokalizowana koło Ciechocinka, a następnie w Karolewie, między Płockiem a Włocławkiem. W obu przypadkach lokalne władze wojewódzkie odrzuciły te projekty. "Głos Wielkopolski" z dnia 5.12.85 doniósł, że radni Wojewódzkiej Rady Narodowej w Pile - przy dwóch głosach wstrzymujących się - zaakceptowali program budowy elektrowni jądrowej na terenie wsi Klempicz w obrębie województwa pilskiego.

Klempicz to mała wieś położona 2 km od granicy województwa pilskiego i województwa poznańskiego. Wieś liczy 25 gospodarstw rolnych i należy do gminy Lubasz. Projekt budowy elektrowni przewiduje likwidację Klempicza. Projektowana elektrownia położona będzie przy samym Klempiczu w odległości 6 km od rzeki Warty i 13 km od Noteci.

Wbrew pozorom, elektrownia nie została zlokalizowana na terenie o małym zagęszczeniu ludności, gdyż takich terenów prawie w ogóle w Polsce brak. Licząc w linii prostej od przyszłej elektrowni do centrum Poznania jest 49 km, do centrum Pity - 47 km, do Międzychodu - 43 km, do Chodzieży - 40 km, do Trzcianki - 34 km, do Pniew - 32 km, do Wielunia - 25 km, do Obornik - 25 km, do Szamotuł - 20 km, do Czarakowa - 17 km, do Ostroroga - 16 km i do Wronek - 10 km.

Poza tym następujące miasta leżą nie dalej, jak 30 km od Klempicza: Człopa, Drezdenko, Lwówek, Opalenica, Łuk, Marzajin, Węgrowiec, Rogoźno, Skoki i Murowana Goślina. Obszar w promieniu 30 km od projektowanej elektrowni jądrowej zamieszkuje obecnie blisko 100000 ludzi. Realizacja tak dużej budowy spowoduje znaczne zwiększenie liczby ludności. Tym samym zmniejszają się szanse szybkiej i skutecznej ewakuacji ludności w przypadku ewentualnej awarii elektrowni.

Elektrownia w Żarnowcu będzie miała moc 1800 MW. Elektrownia w Klempiczu będzie kolosem o mocy 4000 MW. Stanowi to mniej więcej 1/7 część energii elektrycznej, jaką obecnie produkują wszystkie polskie elektrownie razem wzięte. Zabudowania samej elektrowni zajmą obszar 1,6 x 2 km. Sztuczny, retencyjny zbiornik wodny będzie miał powierzchnię 70 ha, co znaczy, że przy długości 1 km jego szerokość wyniesie 0,7 km.

Olbrzymie chłodnie do ochładzania wody, stanowiące ważną część elektrowni, wytworzą nad Klempiczem chmurę, która zmieni klimat tej okolicy, dając reszenie latem i oblodzenie pobliskich terenów zimą. Do elektrowni poprowadzone zostaną specjalne tory kolejowe i wybudowany zostanie cały system dróg.



W planie jest też budowa linii wysokiego napięcia, która przebiegać ma od elektrowni do NRD. Linia taka wymaga przygotowania szerokiego pasa przecinającego Puszcze Notecką i pozbawionego całkowicie roślinności.

Wszystkie te inwestycje i inne towarzyszące im budowle spowodują bardzo znaczne zniszczenie największego w tym rejonie kraju kompleksu leśnego Puszczy Noteckiej. Obecnie jest ona obszarem o stosunkowo małym zanieczyszczeniu i dla całego regionu zachodniego pełni niezwykle istotną funkcję regenerowania powietrza atmosferycznego i wzbogacania go w tlen.

Stosowane w elektrowniach jądrowych zabezpieczenia polegają na ograniczaniu stopnia szkodliwości do poziomu uznanego za dopuszczalny. Są więc określone umownymi normami, a nie rzeczywistym bezpieczeństwem. Nie można też wykluczyć zarówno drobnych uszkodzeń, jak i poważniejszych awarii.

Opowiadanie o samolocie, który w razie upadku na zabudowę reaktora elektrowni nie spowoduje żadnych szkód, należy między bajki włożyć. Prawdopodobieństwo upadku samolotu akurata na reaktor jest tak małe, że praktycznie nie ma żadnego znaczenia i może służyć jedynie do wprowadzania w błąd słuchaczy. O wiele bardziej realny jest upadek rakiet bojowych, które zostaną specjalnie wycelowane w reaktor. W takim przypadku walki prowadzone za pomocą konwencjonalnych środków bojowych przekształcą się w wojnę nuklearną.

W związku z projektem budowy elektrowni jądrowej planuje się też składowanie odpadów radioaktywnych m.in. w poniemieckich bunkrach koło Międzyrzecza, których część zajęta jest przez rezerwat nietoperzy "Nietoperók". Problem składowania odpadów radioaktywnych nie został dotychczas rozwiązany w skali światowej.

Radziecki profesor Jemielianow opowiada na łamach "Polityki" /4.1.86/ o przecieku ze składowiska odpadów radioaktywnych, który spowodował groźne promieniowanie 40 km od składowiska. Codzienna prasa coraz częściej donosi o przeciekach i ulatnianiu się substancji promieniotwórczych z elektrowni jądrowych, z zakładów wzbogacania i przeróbki odpadów atomowych oraz ze składowisk odpadów.

Polska nie posiada odpowiednich terenów na składowanie odpadów nawet o małym i średnim stopniu promieniowania. Problem ten ma więc u nas charakter ogólnokrajowy i wymaga poważnego oraz odpowiedzialnego rozpatrzenia.

Kilka lat temu władze Austrii, RFN i Szwajcarii oferowały Polsce wyjątkowo duże sumy za składowanie u nas swoich odpadów z elektrowni jądrowych. Władze polskie propozycje te odrzuciły. Obecnie władze wymienionych państw gotowe są kupować od nas energię elektryczną wytworzoną w naszych elektrowniach jądrowych. Tymczasem w Austrii stoi jedna z najnowocześniejszych elektrowni tego typu, która nigdy nie została uruchomiona, ponieważ 52% ludności wypowiedziało się w specjalnym referendum przeciw jej uruchomieniu. Elektrownia ta w najbliższym czasie zostanie rozzebrana.

Rząd szwedzki podjął zobowiązanie wobec własnego społeczeństwa, że po roku 2010 nie będzie pracowała w Szwecji żadna elektrownia jądrowa. W Hiszpanii zamknięto czynną od 3 lat elektrownię jądrową. W wielu krajach poważnie rozważa się możliwość wykorzystania innych źródeł energii.

W Anglii na przykład poważnie są zaawansowane prace nad wykorzystaniem siły wiatru i wiele siłowni tego typu już pracuje. W RFN rozpowszechniono w gospodarstwach rolnych produkcję biogazu. W Szwecji i w innych krajach osiągnięto dobre rezultaty w wykorzystywaniu energii słonecznej.

W Polsce, według oficjalnych źródeł, marnuje się stale 30% wytwarzanej energii elektrycznej w wyniku niewłaściwych technologii przemysłowych i zwykłej rozrzutności. Po niskich cenach eksportujemy największe nasze bogactwo narodowe, jakim jest węgiel kamienny, a mamy zamiar kupować drogie paliwo uranowe.

Znaczna część terenów, które będą pozostawały pod wpływem elektrowni w Klempiczu i pod wpływem związanych z nią zagrożeń, należy do obszarów o wysokiej kulturze rolnej, pomimo nie najlepszych gleb. Przeznaczenie części nakładów koniecznych do budowy elektrowni na rzecz dalszego rozwoju rolnictwa, a zwłaszcza rolnictwa ekologicznego, dałoby niewątpliwie znacznie wyższe efekty ekonomiczne aniżeli produkcja energii.

Według wszelkich przewidywań ceny nieskażonej i zdrowej żywności będą na rynkach światowych wzrastać wraz ze wzrostem liczby ludności i stopniem skażenia środowiska. Eksport energii elektrycznej może natomiast ulec gwałtownemu załamaniu na przykład wobec prognoz odkrycia nowych źródeł i technologii uzyskiwania energii.

Zjawiskiem towarzyszącym dużym inwestycjom przemysłowym jest urbanizacja i zmiany w strukturze ludności. Do budowy samej elektrowni potrzeba około 12 tys. ludzi, a po zakończeniu

budowy elektrownia zatrudniać będzie 2 tys. ludzi. Ządzie więc potrzeba przygotowania nowych miejsc pracy i nowych zakładów przemysłowych, które powstawać będą w sposób sztuczny i być może staną się tylko częściowo opłacalne. Istotą zmian będzie natomiast przekształcenie regionu leśnego i rolniczego w region przemysłowy o dużym stopniu zagrożenia ekologicznego.

Częstymi argumentami zwolenników elektrowni jądrowych jest rzekoma czystość procesu wytwarzania energii elektrycznej /brak dymiących kominów/ oraz względy ekonomiczne /nie stać nas na inne rozwiązania/. Oba te argumenty są w istocie fałszywe.

Omówiony poprzednio problem odpadów promieniotwórczych świadczy o wysokich kosztach ich przechowywania oraz o olbrzymim zagrożeniu dla otoczenia. Jest to nowy i bardzo niebezpieczny rodzaj zanieczyszczeń, które działają na człowieka bezboleśnie i nie są wyczuwane przez narządy zmysłów. Powodują przy tym straty długotrwałe i przekazywane następnym pokoleniom.

Z tych względów do kosztów budowy i eksploatacji elektrowni należy bezwzględnie doliczyć koszty, o jakie trzeba będzie zwiększyć liczbę szpitali, łóżek szpitalnych, nakłady na kształcenie większej liczby lekarzy i na rozwój przemysłu farmaceutycznego, kwoty strat spowodowanych absencją w pracy ludzi chorych, przedwczesnych rent inwalidzkich, straty w przyrodzie, straty spowodowane wyłączeniem z użytku ziem, a wreszcie koszty ewentualnych awarii elektrowni, jak odkażania terenu, ewakuacji ludności, kopania studni głębinowych w celu uzyskania czystej wody, odszkodowania itp.

Apel do Sejmu

Poznań, dnia 24 listopada 1986 r.

Rada Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, po zapoznaniu się w dniu 24 lutego br. z częściowo ujawnionymi społeczeństwu oficjalnymi doniesieniami o planach rozwoju energetyki jądrowej w Polsce, skierowała do władz wojewódzkich Piły, Poznania, Gorzowa Wielkopolskiego i Zielonej Góry pismo, którego kopię załączamy.

Pismo to wysłano także do wiadomości Komitetów Wojewódz-



kich PZPR wymienionych województw. Wobec braku jakiegokolwiek odzewu ze strony władz wojewódzkich Gorzowa Wielkopolskiego i Zielonej Góry oraz Komitetów Wojewódzkich PZPR, niniejsze pismo kierujemy do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Uważamy, iż podjęcie decyzji o budowie elektrowni jądrowych oraz związanych z tym innych posunięciach, jak na przykład składowanie odpadów radioaktywnych, jest problemem, który nie może być rozwiązany bez wszechstronnej i wnikliwej analizy obejmującej dyskusję w jak najszerszych kręgach społeczeństwa, szczególnie zaś w środowiskach zainteresowanych profesjonalnie.

Jako bioludzy i mieszkańcy regionu, którego planowana lokalizacja jednej z elektrowni dotyczy bezpośrednio, zgłaszamy stanowczy sprzeciw i zwracamy uwagę na zagrożenia wynikające z pochopnego, motywowanego potrzebami doraźnymi, rozwiązywania problemów mających wymiar już nie tylko ogólnospołeczny, ale wręcz pokoleniowy.

Postępowanie takie budzić musi dodatkowy niepokój w obliczu coraz częstszych awarii, z których dotychczas największa dotyczyła także bezpośrednio naszego kraju, jak również tendencji występujących w krajach o wyższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego, charakteryzujących się odchodzeniem od zakładanych pierwotnie kierunków rozwoju energetyki.

Kolejnym argumentem przemawiającym przeciwko wykorzystywaniu energii jądrowej w naszym kraju jest sytuacja ekonomiczna, która nie pozwala w chwili obecnej na podejmowanie tak kosztownych inwestycji, obciążających i tak już zadłużone na wielką skalę całe społeczeństwo oraz przyszłe pokolenia. Ewentualne korzyści płynące z tego tytułu są także - w wymiarze ogólnospołecznym - niewspółmierne w stosunku do zagrożeń oraz w świetle prognoz dotyczących światowych rezerw zasobów radioaktywnego paliwa.

Stosowane w elektrowniach jądrowych zabezpieczenia polegają na ograniczeniu stopnia szkodliwości do poziomu uznanego za dopuszczalny. Nie eliminują one jej całkowicie i nie istnieją żadne gwarancje wykluczające możliwość powstania zarówno drobnych uszkodzeń, jak i poważniejszych awarii.

Lokalizacja elektrowni w województwie pilskim, na pograniczu z województwem poznańskim, grozi ewentualnym skażeniem radioaktywnym rzeki Warty, z której pobierana jest woda pitna dla miasta Gorzowa Wlkp. Znaczna część terenów, które będą pozostawały pod wpływem elektrowni i związanych z nią zagrożeń, należy do obszarów o wysokiej lub bardzo wysokiej kulturze

rolnej.

Z ekonomicznego punktu widzenia przeznaczenie chociaż części nakładów, koniecznych do budowy elektrowni, na rzecz rozwoju rolnictwa, zwłaszcza rolnictwa ekologicznego, dałoby niewątpliwie znacznie wyższe efekty aniżeli produkcja energii. Według wszelkich przewidywań ceny nieskażonej i zdrowej żywności będą na rynkach światowych wzrastać wraz ze wzrostem liczby ludności i nasilającym się skażeniem środowiska.

Wobec takich prognoz tym bardziej nieuzasadniony staje się projekt budowy elektrowni, której produkcja ma być przeznaczona również na eksport, o czym świadczy plan budowy linii wysokiego napięcia, która przebiegać ma przez Puszcę Notecką do granicy NRD. Eksport energii uległ może gwałtownemu załamaniu także w świetle realnych przewidywań odkrycia nowych źródeł i opracowania nowych technologii uzyskiwania energii.

Głęboki kryzys gospodarczy, jaki dotknął nasz kraj, spowodowany został, między innymi, licznymi błędami gospodarczymi, nieprzemyślanymi wielkimi inwestycjami i związane z tym degradacją środowiska. Zarówno sama elektrownia, jak i linie wysokiego napięcia oraz nowe trasy komunikacyjne i inne towarzyszące budowle spowodują bardzo znaczne zniszczenie największego w tym rejonie kompleksu leśnego, jakim jest Puszcza Notecka.

Obecnie jest ona obszarem o stosunkowo małym zanieczyszczeniu i dla całego regionu zachodniego pełni istotną funkcję wzbogacania powietrza atmosferycznego w tlen. Reszty zniszczeń dokonają dalsze inwestycje przemysłowe, które będą musiały być realizowane w celu zapewnienia pracy licznym rzeszom ludzi, którzy po zakończeniu budowy elektrowni pozostaną bez zatrudnienia. W każdym razie, w końcowym efekcie nastąpi przekształcenie regionu leśnego i rolniczego w region przemysłowy o dużym stopniu zagrożenia dla struktur ekologicznych.

Już w tej chwili na wielu uprzemysłowionych obszarach kraju stwierdza się zwiększoną śmiertelność niemowląt i ludzi w wieku produkcyjnym oraz ogólny wzrost chorób cywilizacyjnych. Wprowadzenie do środowiska substancji promieniotwórczych powoduje zwiększenie zachorowań na nowotwory złośliwe, zwłaszcza na białaczkę, oraz powiększa niebezpieczeństwo powstania poważnych zmian genetycznych u ludzi oraz u roślin i zwierząt.

Rada Wydziału Biologii UAM w Poznaniu wyraża w pełni uzasadnione przekonanie o możliwościach uzyskiwania dostatecz-

nych ilości energii na drodze racjonalnego gospodarowania energią już produkowaną, której trzecia część jest u nas marnowana przez energochłonny przemysł.

Należy także jak najszybciej stworzyć warunki wykorzystywania innych źródeł energii, jak energia spadku wody, energia wiatru oraz słońca, a także produkcja biogazu. Ponadto nieporównywalnie mniejszą część planowanych nakładów inwestycyjnych przeznaczyc można na modernizację istniejących do tej pory elektrowni tradycyjnych w kierunku zwiększenia ich efektywności, a także, co jest równie istotne, stworzenie systemów zabezpieczeń ograniczających emisję substancji zanieczyszczających środowisko naturalne.

Uważamy, że takie kierunki działań stanowią dostateczną alternatywę rozwoju energetyki jądrowej oraz gwarantują akceptację społeczną, co wiązać się będzie z możliwościami uruchomienia obywatelskich inicjatyw, tak potrzebnych krajowi w obecnej sytuacji.

Uważamy także, że Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władny jest zainicjować ogólnospołeczną dyskusję obejmującą także środowiska profesjonalne, która przygotowałaby ogólnonarodowe referendum w tej, tak ważnej dla przyszłości naszego kraju kwestii, jaką jest planowany rozwój energetyki jądrowej.

"Zagrożenie" - Biuletyn Ekologiczny nr 4, 24 listopada 1986  
Wrocław

Huta Siechnice truje

## 1. Raport ekologiczny

Po ponad 40 latach istnienia planowanej gospodarki w PRL dorobiliśmy się 27 okręgów katastrofy ekologicznej, w których żyje 12,3 miliona osób, a więc jedna trzecia narodu. Ponad milion osób żyje w warunkach uznanych za wyjątkowo szkodliwe.

Przez 40 lat preferowano produkcję kosztem jakości życia, a nawet zdrowia obywateli. Władza nazywająca siebie Ludową, wszelkie konflikty "produkcja czy zdrowie robotników" rozstrzygała faktycznie na korzyść przemysłu, przy równoczesnej propagandzie mającej na celu wywołanie wrażenia troski o zdrowie i jakość życia obywateli.

Chcielibyśmy dziś przedstawić typowy przykład ilustrujący te poczynania. Mamy nadzieję, że podanie do publicznej wiadomości



mości tych informacji przyczyni się do wywarcia takiego nacisku na władze, że pozwoli to na pozytywne dla społeczeństwa wrocławskiego zakończenie sporu - huta czy miasto?

Chodzi o hutę "Siechnice" usytuowaną we wsi Siechnice w odległości ok. 12 km od centrum Wrocławia. Huta "Siechnice" jest starym, przedwojennym zakładem, uruchomionym ponownie w latach 50-tych. W okresie ostatnich kilkudziesięciu lat nie zrealizowano tu żadnej większej inwestycji modernizacyjnej czy odtworzeniowej. Podstawową działalnością huty jest wytwarzanie żelazo-chromu dla potrzeb innych zakładów metalurgicznych. Produkcja wynosi około 25 tys. t/rok.

Baza techniczna huty i jej uzbrojenie są w znacznym stopniu wyeksploatowane, huta nie posiada żadnych urządzeń ochrony środowiska poza oczyszczalnią ścieków sanitarnych. Przed kilku laty zbudowana została kosztem około 60 mln zł duża odpylnia typu mokrego, która nie spełniła swego zadania i kwalifikuje się jedynie do złomowania.

Niezwykle ciężkie i niebezpieczne dla zdrowia warunki pracy załogi spowodowały wydanie przez Państwową Inspekcję Pracy nakazu /2.06.1982/ trwale wstrzymującego prace piecowni II, a następnie /1.09.1982/ nakazu równoczesnego z wstrzymaniem produkcji całej huty. Realizacja tego ostatniego została jednak odroczona w związku z zadeklarowanymi podjęciem działań modernizacyjnych.

Wyjątkowo niekorzystne warunki lokalizacji huty wynikają m.in. z bezpośredniego sąsiedztwa strefy ochronnej ujeź wodnych m. Wrocławia. Strefa ta znajduje się zarówno pod wpływem wód gruntowych z terenu huty, jak i opadu pyłu. Obecna uciążliwość huty dla jej otoczenia wyraża się emisją 1400 t pyłów rocznie, emisją hałasu, wytwarzaniem około 100 tys. t/rocznie żużła odpadowego i zanieczyszczeniem wód powierzchniowych oraz podziemnych.

/.../. Cały teren zakładu i tereny okoliczne w promieniu 1 km znajdują się pod wpływem pyłu zawierającego toksyczne związki metali. Metale te infiltrują w głąb gleby i przedostają się do warstw wodonosnych. Podkreślić należy wyjątkowo niekorzystną strukturę geologiczną - brak naturalnej ciągłej warstwy izolacyjnej zarówno pod zwałowiskiem żużła, jak i na całym terenie objętym wpływami huty.

Źródłami emisji - głównie pyłów zawierających toksyczne tlenki metali ciężkich, są wszystkie fazy procesu i operacje przygotowania wsadu transportu wewnątrzzakładowego, wytopu, spustu

metalów, obróbka i transport żużla, jego składowisko. Wszystkie te operacje wykonywane są w sposób prymitywny, bez jakichkolwiek środków zabezpieczających załogę i otoczenie zakładu...

/.../ Ocenę stanu skażenia środowiska glebowo-roślinnego metalami ciężkimi przeprowadzono na podstawie opracowań wykonanych w okresie ostatnich 15 lat. Analiza składników chemicznych gleby i roślin pozwoliła dojść do stwierdzenia, że spośród badanych szkodliwych składników /metale ciężkie i niemetale/ jedynie chrom stanowi istotne zagrożenie. Zdecydował o tym nie stopień toksyczności /większy na ołów, kadm, arsen/, lecz zawartość w glebie i roślinach w porównaniu z innymi pierwiastkami...

/.../ Z przeprowadzonych badań zawartości chromu w glebach wynika, że nadmierne nagromadzenie tego pierwiastka mogące spowodować w przyszłości - na skutek dalszej emisji pyłów przekraczającej normę - katastrofalną degradację siedliska glebowego /zanik produktywności i aktywności biologicznej/ oraz krajobrazu występuje w promieniu do 4 km w kierunku N.E. i S oraz 500 m w kierunku W. Jest to obszar wychodzący poza granicę projektowanej dla huty strefy ochronnej...

/.../ Część ziemiopłodów nie nadaje się do spożycia mimo zastosowanych zabiegów higienicznych przed ich konsumpcją. Dotyczy to głównie warzyw nadziemnych. Największym jednak problemem jest zagrożenie wód powierzchniowych i podziemnych. Stąd bowiem czerpie się wodę dla mieszkańców Wrocławia...

Badania wykazały, że maksymalne wartości stężeń rtęci, ołowiu, miedzi, cynku, chromu, żelaza, manganu przekraczają dopuszczalne wartości dla wody pitnej. W wodach gruntowych całego obszaru stwierdzono przekroczenia normy dla wód pitnych dla rtęci, ołowiu, chromu, manganu, -elaz-, a na terenie ujęć /III grupa studzien/ dodatkowo miedzi i cynku. W wodzie rzeki Oławy stężenie rtęci, cynku, żelaza i manganu przekracza wartości I klasy, a w przypadku cynku i rtęci oscyluje między II i III klasą czystości.

Szczególnie narażeni są ludzie mieszkający i pracujący w pobliżu huty i elektrociepłowni, mieszkańcy Siechnicy, Radwanic, Św. Katarzyny, użytkownicy ogródków działkowych zlokalizowanych w okolicy huty. Ich zdrowie jest zagrożone. W tej sytuacji program dalszego rozwoju huty jest typowym przykładem nieliczenia się z opinią społeczną.

Nikt się zresztą społeczeństwa o zdanie nie pytał. Projektowana modernizacja huty i zwiększenie produkcji oznaczają w praktyce dalsze egzystowanie w pobliżu aglomeracji miejskiej

truciciela. I to zgodnie z planem. Zapewnienia zaś o zmniejszeniu emisji pyłów i gazów brzmią nieprzekonująco. Zbyt wiele takich obietnic składano w PRL, a w rezultacie mamy okręgi katastrofy ekologicznej. Tym razem chodzi o zdrowie mieszkańców Wrocławia, którzy mają prawo do czystej wody, gleby, czystego powietrza...

/.../ W świetle przytoczonych liczb i faktów decyzja powinna brzmieć jednoznacznie: ZLIKWIDOWAĆ HUTĘ. Problem huta czy zdrowie mieszkańców nie powinien w ogóle istnieć...

/.../ Wszelkie działania pozorne, przemilczanie prawdy o skażeniach czy bagatelizowanie sytuacji, jest nieuczciwe i przyczynia się do pogorszenia warunków życia. Tylko zdecydowane stanowisko społeczeństwa, jego opór wobec takich poczynań, jak "modernizacja" huty "Siechnice", może doprowadzić do zaniechania nonsensownych koncepcji i podjęcia działań zmierzających do widocznej poprawy środowiska.

Wybranej batalii o zdrowie nasza i przyszłych pokoleń zależy od naszej zdecydowanej postawy.

## 2. Konsekwencje zdrowotne

Do skażenia środowiska naturalnego wokół Siechnic przyczyniają się głównie dwa pracujące na tym terenie zakłady przemysłowe: huta "Siechnice" i elektrociepłownia.

Głównym czynnikiem toksycznym emitowanym przez hutę do najbliższego otoczenia są związki chromu. Szczególnie związki sześciowartościowe tego metalu działają agresywnie, powodując podrażnienie skóry i śluzówek, oparzenia i owrzodzenia. Owrzodzenia na skórze goją się bardzo opornie, a w razie ich zainfekowania dochodzi czasem do konieczności amputacji.

Podrażnienie błon śluzowych jamy nosowej prowadzi niejednokrotnie do owrzodzeń, a nawet do przebicia przegrody nosa. Zmiany nieżytowe powstają w oskrzelach w następstwie działania pyłów lub gazów zawierających sole chromu. Obserwuje się też alergizację z typowymi objawami astmy oskrzelowej. Zmiany te mogą być przyczyną utraty zdolności do pracy.

Najgroźniejszym następstwem przewlekłego drażnienia oskrzeli przez związki chromu jest rak płuc. Nowotwór złośliwy powstaje po kilkunastoletnim okresie utajenia, również u osób, które od wielu lat nie są ekspozowane na działanie chromu. Częstotliwość występowania raka chromowego płuc wśród osób narażonych jest kilkunastokrotnie większa niż w pozostałej popu-



lacji.

Inne możliwe następstwa to nieżyty przewodu pokarmowego, owrzodzenia żołądka lub jelit, stwierdzono też uszkodzenia słuchu, krwotoczne zapalenia nerek.

Na terenie otaczającym hutę, zarówno w glebie, roślinach, jak i wodzie pitnej stwierdzono podwyższoną zawartość także innych metali, jak cynk, miedź, ołów, rtęć, mangan i nikiel. Ważnym z punktu widzenia biologicznego jest zagadnienie interakcji wielu metali. Interakcja w wielu przypadkach cechuje się wzmożeniem toksyczności poszczególnych metali i związków. Przy tym odległe efekty przewlekłego narażenia nie są jeszcze w pełni poznane.

Na działanie związków chromu jest narażona przede wszystkim załoga huty. Obecność związków chromu i innych metali w powietrzu, wodzie, glebie, w produktach pochodzenia roślinnego i zwierzęcego sprawia, że są one wchłaniane drogą pokarmową, a przewodu pokarmowego, a także działają na skórę u ludzi zamieszkałych w pobliżu huty.

Szczególne niebezpieczne jest narażenie na metale toksyczne na dzieci i ludzi w okresie rozrodczym. Organizmy w okresie intensywnego rozwoju, zwłaszcza dzieci, są szczególnie podatne na związki toksyczne i to w stężeniach jeszcze tolerowanych u dorosłych. U kobiet w ciąży leżątków zagrożenie wiąże się z możliwością oddziaływań terato- i mutagennych.

Istniejąca sytuacja stanowi poważne zagrożenie nie tylko dla pracowników huty i ludności zamieszkałej w jej pobliżu, ale także dla całej populacji wrocławskiej /tereny wodonośne/. Katastrofalne zagrożenie rozciąga się przy tym również na następne pokolenia mieszkańców tych zdeustowanych biologicznie terenów.

Bez zastosowania radykalnych rozwiązań eliminujących emisję związków toksycznych /zanknięcie huty i unieszkodliwienie na hałdach śmiecia/ nie sposób zmniejszyć zagrożenia skutecznymi środkami.

## MIĘDZY NADZIEJĄ A BRAKIEM NADZIEI

Temat nadziei można by ująć bardzo krótko, zamknąć w jednym zdaniu: Jesteśmy chrześcijanami. I to powinno zdeterninować naszą postawę wobec nadziei, bo jest ona wkorzeniona w chrześcijaństwie, jest podstawą, jednym z najważniejszych przykazań tej wiary, a brak nadziei jest jej zaprzeczeniem. Więc wystarczyłoby odpowiedzieć sobie na pytanie: kim jesteśmy i to powinno by rozwiązać wszystko.

Tylko, że to nie jest takie proste. Bo niezależnie od tego, że jesteśmy chrześcijanami, jesteśmy również ludźmi - często rozdartymi, pełnymi wahań, po prostu bardzo słabymi. Dlatego chcę się podzielić pewną refleksją, a może nawet czynić w rodzaju uwag i wskazówek praktycznych: jak sobie radzić, kiedy ta nasza nadzieja deptana, druzgotana, niszczona każdego dnia - zaczyna nas zawodzić? Kiedy sięgamy po nią i znajdujemy puste miejsce?

To będzie jakby kontynuacja dialogu, który od kilku lat prowadzę sama ze sobą, próba argumentacji, osobistego dźwignienia się z dołka - bo wielu z nas tak właśnie żyje, w ustawicznej huśtawce między nadzieją a brakiem nadziei. Tak właśnie przekonuję samą siebie, kiedy przychodzi moment zły, pełen zwątpień i kiedy mocno muszę się wziąć w garść.

Może najpierw kilka słów o tym, jak ja rozumiem nadzieję, tę małą, codzienną, "potoczną" nadzieję - bo używamy tego słowa bardzo często i grozi mu, że stanie się puste, przestanie znaczyć, tak jak wszystkie słowa nadużywane.

Nadzieja, według mnie, to pewien stan; wewnętrzny, psychiczny stan człowieka. Pewna predyspozycja, możliwość korzystania z wielu radości, które bez niej byłyby nieosiągalne. Wewnętrzna umiejętność, a może raczej gotowość do patrzenia na wszystko tak, a nie inaczej. Mówimy, że jest się "w stanie łaski"; chyba można również powiedzieć, że jest się "w stanie nadziei".

Nadzieja nie jest statyczna i nie dotyczy tylko pewnych konkretnych spraw. Jest dynamiczna, jest wciąż w akcji, musi się wciąż na nowo stawać w przebiegających wewnątrz nas procesach.

Ona zagarnia coraz to nowe obszary, dotyka wszystkiego, z czym się spotykamy - i przekształca to po swojemu, ustawicznie zmienia na trochę inne. Nadzieja to jest wewnętrzne nastawienie do świata i do otaczających nas zjawisk, nisze przygotowanie do ich specjalnego odbioru.

Nadzieja polega też na dostrzeganiu sensu w zjawiskach i działaniach. Jest to niezawodny sprawdzian. Jeżeli traci się poczucie sensu, traci się równocześnie nadzieję. Nadzieja to nie jeden, nieruchomy, nawet najpiękniejszy obraz - ale następstwo obrazów po sobie, ruchome klatki, jak w filmie. Nadzieja to nie jeden ton pojedynczy, ale następstwo tonów, melodia.

I teraz - nadzieja, jak każda rzecz niestannicza, ale w ruchu, wymaga pewnego wysiłku; pewnych zabiegów, jakiegoś wewnętrznego pobudzenia. Aby być trwale "w stanie nadziei", trzeba go wypracować. Jej nie można "odłożyć" po spełnieniu czegoś, bo natychmiast zjawia się coś nowego, co również nadziei wymaga. Nie można "wydać" na coś jej nagromadzonego zapasu, a potem przestać ją wytwarzać i zniemczyć.

Trzeba ją wytwarzać nieustannie, tak jak organizm odnawia komórki i jak krew wytwarza nowe ciała. Ale podczas kiedy w ciele odbywa się ta niestanna praca odnowicielska bez udziału naszej świadomości, to w proces wytwarzania nadziei nasza świadomość musi być zaangażowana.

Teraz już konkretnie. Jak sobie radzić z dniami powszednimi? Jak sięgać po nadzieję i znajdować ją na swoim miejscu, zamiast beznadziei? Receptę oczywiście każdy nosi w sobie, tylko musi zadać sobie trud jej odczytania. Ja mogę podać receptę własną, moje indywidualne sposoby wytwarzania "stanu nadziei". Wybrałam spośród nich dziewięć, które uważam za najważniejsze.

## 1. Strach

To jedno z uczuć najbardziej upodlających i niszczących człowieka. Nawet fizycznie potrafi zmienić: bladeść, pocenie się, drżenie rąk, rozbiegane spojrzenie. Ale dużo gorsze od zmian fizycznych są zmiany zachodzące wewnątrz. powolny rozkład woli, godności, destrukcja wszystkich uznawanych dotąd wartości. Strach - to jest jad duszy i nieprzypadkowo ci, którzy pragną człowieka zniewolić i odczłowieczyć - sięgają po strach, jako po środek idealny.



Różnymi posunięciami można wytworzyć w kraju, w mieście, w dzielnicy - ogólną atmosferę strachu, trochę nieokreśloną, abstrakcyjną, tajemniczą - i ludzie zaczynają się bać, nie umiając nawet dokładnie określić, czego się boją. Charakterystyczne, że najbardziej boją się wcale nie ci, którzy są naprawdę zagrożeni, ale ci, którzy mają do tego najmniej powodów. Właśnie ci żołnierze z najdalszych tyków, zupełnie jak na wojnie. Bo na froncie jest przeważnie determinacja, solidarność, piękne akty odwagi czy braterstwa, a boją się głównie różni incydenci, kwatermistrzowie, służby specjalne - ci, którzy się zadękali.

Oczywiście, strach jako ostrzeżenie przed realnym niebezpieczeństwem jest normalny i chyba nie na człowieka, który by go czasem nie odczuwał. Ale strach nieokreślony, przenikający wszystko jak zawiesina mgły, strach "na zapas", strach "na wszelki wypadek" - nie jest normalny i ci, którzy tak właśnie się boją, wstydzą się tego, choćby podświadczenie, a więc chcą zarazić innych, żeby się nie odróżniać, żeby nie być jak najwięcej iłość towarzyszy i nie wyśmiewać z tła. Taki człowiek tę atmosferę wszechobecnego strachu zagęszcza, nakręca ją, bo ona mu jest potrzebna. Ona go uprawia i to, że on sam nigdy się nie wychylił, nie naraził i w żadnej sprawie nie miał palców.

Jedną z największych życiowych satysfakcji jest stopniowe, konsekwentne, krok po kroku - przemyślenie własnego strachu. To tak, jak wspaniała radość taternika po pokonaniu jednej małej przewieszki czy kominika, jednego odcinka, gdzie było najtrudniej i gdzie groziło wycofanie się z wytyczonej drogi. Ta satysfakcja jest tak wielka, że człowiek będzie już po nią sięgał, będzie to doświadczenie powtarzał, tym bardziej, że niebezpieczeństwo okazuje się zwykle wyolbrzymione, czasem nawet całkowicie wyimaginowane.

Proporcje zupełnie się wtedy zmieniają. To, co w wyobraźni stale rosło i przybierało wymiary apokaliptyczne - w rzeczywistości, przeżyte i dotknięte palcem - maleje, zwyczajniaje i człowiek sobie mówi: "Kój Boże, a więc to t y l k o to?...

Jednym z podstawowych zabiegów w wytwarzaniu "stanu nadziei" jest przewyciężanie własnego strachu.

## 2. Czas i dyscyplina

Sprzymierzeńcom beznadziejności, w której grzeźniery, jest poczucie zabiegania, zagonienia, galopu do ostatniego tchu, tego, że nic nie można zdążyć: nie można odpisać na list, który sprawiłby komś radość, odwiedzić kogoś samotnego, przeczytać książki, pogłębić wiedzy, zamyślić się - bo na wszystko jest za mało czasu.

I - co najważniejsze - poczucie, że ten czas jest zmarnowany, że ucieka i nic nie daje, niczego nie zostawia - ani przyjemności, ani odprężenia, ani poczucia spełnionego obowiązku. Odwrotnie, pozostaje po nim tylko świadomość przemijania, szybkości przemijania, dotkliwości i bólu przemijania.

Ogromna część tego zagonienia i przeganej z czasem jest zawiniona przez czynniki niezależne od nas: przez nieudolność gospodarki, zarządzania, przez permanentny kryzys wkomponowany w system. Jednak za sporą część odpowiedzialny my sami. Sami tracimy odczuwanie własnego czasu. Ba! Chcemy go tracić, szukamy wybiegów, żeby go tracić.

Pierwszy przykład z brzegu: telewizja. Dobry film, ciekawy program przyrodniczy zdarza się raz, może dwa w tygodniu. Ale w wielu domach telewizor otwarty jest przez wiele godzin dziennie i oprócz wielu innych szkod, które nam wyrządza - denerwuje i pożera czas. Pożerają go również tasientowe rozmowy telefoniczne czy uliczne, stawanie w byle kolejce, gdzie coś "zaczeka" /czasem, żeby po kwadransie machnąć ręką i odejść/, dezorganizacja naszego dnia iad., itd.

Jeżeli chcemy utraczony czas odzyskać, musimy wprowadzić w życie pewną dyscyplinę. Zrobić sobie rytmistyczny plan miesiąca, tygodnia, każdego następnego dnia, całego czasu, który nam pozostaje po pracy zawodowej - i zorientować się, na co go najczęściej tracimy, z czego możemy zrezygnować. Aby żyć w "stanie nadziei", konieczne jest uzyskanie pewnego luzu, zmniejszenie stałego napięcia i przeznaczanie wygospodarowanego czasu na coś wartościowego. To zmniejszy poczucie bezsensu i dotkliwość przemijania.

## 3. Gadulstwo

Podobnie, jak tracimy odczuwanie czasu, tak samo wylewamy ocean niepotrzebnych słów. Nie każdy ulamek, strze-

pek myśli, który przeleci nam przez głowę, wart jest sformułowania i przekazania komuś innemu. Czasem dużo lepiej, żeby pozostał naszą własnością. Zanika r o z m o w a , która jest wymianą istotnych przemyśleń i próbą porozumienia w istotnych kwestiach - a pozostaje tylko przekazywanie sobie powierzchownych i zupełnie zbędnych i n f o r m a c j i .

Takie pseudorozmowy stają się podobne do zwykłej funkcji fizjologicznej: kogoś zakreśliło w nosie, więc kicha, kogoś zaśwędziało, więc się drapie, komuś coś przyszło do głowy, więc mówi. Naprawdę nie zawsze musi. Powinien bardziej szanować własny język i ucho drugiego człowieka.

Zanik prawdziwej rozmowy i rozwój miątkiego gadulstwa jest również spowodowany przez to, że od dziesięcioleci odczujemy się prawdziwego myślenia, myślenia pod wpływem tzw. drętwej mowy. Tego specyficznego żargonu - slangu, którym przesiąknięte jest radio, telewizja, prasa - zwłaszcza codzienna, różne okólniki, różne przenośnienia. Rei się w nich od powtarzanych w kółko zawsze tych samych zbiłek słów, po które sięga się automatycznie i które przestały cokolwiek znaczyć. A myślny się tym żargonem i stylem zakaził, nawet nasze mówienie prywatne to często nic nie znaczące zbiórki słów.

A propaganda? Ona też jest szkołą gadulstwa i zalewania i l o ś c i ą słów. Propaganda to środek neutralizujący nieczyste sumienie. Im bardziej jakaś sprawa jest nierówna, dwuznaczna, im więcej budzi wątpliwości - tym więcej słów trzeba wydać w jej obronie. Trzeba ją tym potokiem słów zakryć, zamydląć, przesłonić. Prawda nie potrzebuje propagandy - ona broni się sama.

Ale ponieważ propaganda i drętwa mowa są zjawiskami istniejącymi realnie, na co dzień - więc użyjemy stale oszczędni różnorodności codziennych słów. W ich szanie coraz trudniej jest usłyszeć nas samych. Więcej nie dodawajmy do tego szumu słów codziennych jeszcze i słów własnych, tych niepotrzebnych. Sięgajmy częściej po m i l c z e n i e .

W 82 roku byłam po raz pierwszy w życiu na tzw. Dniach Skupienia. Był tam wprowadzony rygor milczenia. Oprócz konferencji i modlitwy - żadnych pytań, dyskusji, uwag, żadnych rozmów prywatnych. To wywołało we mnie odruch buntu; uznałam to za niepotrzebne, sztywne sformalizowanie i zamach na moją osobistą wolność. Chciałam nawet wyjechać w pierwszych odruchu.

Zostałam. I już w ciągu pierwszych godzin przekonałam się, jak to działa uzdrawiająco! Każde, świadomie powstrzymane słowo



to było jakieś zastanowienie się, sięgnięcie w głąb. Te cztery dni były wspaniałą, ciałową kuracją psychiczną.

Pamiętajmy i o tym, że w naszym obecnym życiu mogą zdarzyć się konkretne sytuacje, w których milczenie będzie jedynym wyjściem rozsądnym i jedynym wyjściem przyzwoitym. Ale żeby je zastosować wtedy, już teraz musimy się wprawiać. Inaczej nie poskromimy nadmiaru zbyt czystych słów.

Aby zachować nadzieję, aby wsłuchać się w jej delikatną melodię - nie zagłuszajmy się sami i sięgajmy częściej po milczenie.

#### 4. Rozszczepienie

To choroba, na którą cierpi dzisiaj wielu ludzi. Coś w rodzaju rozszczepienia jaźni, dwóch ludzi w jednym. Ten pierwszy to człowiek prywatny - na użytek rodziny i najbliższych, zaufanych przyjaciół. Ten na wszystko psiooczy, wszystko ocenia surowo, jest superkrytyczny.

Drugi - to człowiek oficjalny. Wśród mniej zaufanych, w pracy, w miejscu publicznym, na zebraniu, zagadnięty przez reportera, czy poproszony o tak zwaną "wypowiedź". Ten się zgadza, chwali, popiera, jest superukładny, rezygnuje z prawa do krytyki. Może wręcz wtedy: to tylko po to, żeby mieć święty spokój, a wewnątrz jestem zupełnie inny i wiem swoje. To nieprawda. Jeżeli to trwa latami, wówczas owo wewnętrzne rozłupanie, utrwała się. Zjawiają się zakłócenia w poczuciu tożsamości i już nie bardzo wiadomo, kim się jest naprawdę.

Tych dwóch ludzi - prywatnego i na wynos - trzeba maksymalnie zbliżyć, przysuwać do siebie. Szpara będzie coraz mniejsza i w końcu z dwóch - zrobi się jeden człowiek, niezależnie od miejsca i sytuacji. To daje poczucie jednoznaczności, tak bardzo potrzebne w walce o nadzieję.

#### 5. Kompromis

A więc zrezygnowanie z pewnych wyznawanych wartości - w imię wartości ważniejszych, nadrzędnych. Kompromis bywa konieczny, bywa również mądry. Pod jednym wszakże warunkiem: trzeba znać granice kompromisu, a nade wszystko wiedzieć, że ta granica nie jest płynna, nie przesuwa się bezustannie i fluktuuje w zależności od sytuacji - że jest mniej więcej stała.

Jeżeli tej świadomości mieć nie będziemy, to zwłaszcza w czasach nacisku, presji i represji - grozi nam, że ową granicę nie-

bezpiecznie rozchwyjemy, rozruszamy. Że jutro rozsądnym kompromi-  
sam była nam się to, co jeszcze dziś postzegamy jako sprzeniewie-  
rzenie się sobie, takówestwo, czy zwykłe świństwo.

Innym słowem - fotyżmam obok "sytuacji", która ma rzekomo us-  
prawiedliwić różne nasze postępowania - jest dziś "ochrona substancji,  
tancji". Inne "chronić substancje". A substancje to jakieś przed-  
siębiórstwo, szkoła, fabryka, teatr, wydawnictwo, wyższa uczelnia.  
Uważamy, że chronimy je pracując w niej, zwłaszcza na kierowniczym  
stanowisku - bo gdyby nas wylano, to przyszedłby ktos gorszy.

Obóz, to wcale nie takie pewne, czy gorszy - bo jeżeli my sa-  
mi - dla rzekomego ratowania substancji - robimy coś, czego się  
wstydzimy, to w tym momencie stajemy się właśnie tym gorszym. On  
nie zrobiłby nic innego, właśnie to. Może nawet jeszcze gorsi  
podójnią, bo zawoźdym tych, którzy nam zaufali i podważamy ogólną  
nią wiarę w ludzką przyzwoitość.

Więc dobrze jest "sytuacją" i "chronieniem substancji" róż-  
nych swoich wewnętrznych zachowań nie usprawiedliwiać, a granice  
kompromisu możliwości precyzyjnie ustalić, żeby potem nie było nie-  
spodzianek. To daje wielką ulgę i psychiczny luksus wydobyć się  
z dwuznaczności.

## 6. Odradzanie ludzi

To jest potężne źródło odradzania się naszej, tylko trzeba  
je dostrzec, a potem nauczyć się z niego czerpać. Trzeba zrobić  
próbę bilansu, policzyć dokładnie - ilu, w ciągu tych ostatnich  
kilku lat, przybyło mi przyjaciół, ludzi myślących podobnie, lu-  
dzi, którym ufamy i na których możemy liczyć?

Z własnego doświadczenia i z relacji wielu osób wiem, że  
taki bilans wypada na ogół bardzo dobrze. Że na miejsce tych  
paru osób, z którymi kontakty rozluźniły się, czy urwały - zja-  
wiło się dwukrotnie, pięć-, dziesięciokrotnie więcej ludzi  
odnalezionych, pozyskanych. Po prostu, w tych ważnych latach  
80-81 wyszliśmy z izolacji. Dostrzegliśmy inne środowiska,  
odkryliśmy się nawzajem, połączyło nas wspólne myślenie i po-  
dobne pragnienia.

I to pozostało, tego nam nikt nie odbierze. Nasze społecz-  
ne osamotnienie wyraźnie się zmniejszyło. Dawniej też, z pew-  
nością, istnieli ludzie podobnie myślący i mający podobne zasady,  
ale - poza gronem najbliższych znajomych - nie wiedzieli o się  
o nich, gubili się w bezziemnej masie o nieznanymi postawach  
i charakterach. Teraz najczęściej wiemy, kto jest kto. I nasze

własne postawy się utwierdzają, bo przekonaliśmy się, że podziela je bez porównania więcej osób, niż sądziliśmy kiedyś.

Ala satysfakcja, którą z tego powodu czujemy - zobowiązuje, nie wolno zoszcawiać tych ludzi w osamotnieniu, nie wolno wykryć się od odpowiedzialności za nich. Trzeba wrócić im przede konkretnie, albo choćby symbolicznie, nawet gdyby to się wiązało z pewnym ryzykiem. Jeżeli się po latach odnalazło rodzinę - to trzeba jej bronić.

## 7. Postawa tyzaliwa

Nie wydwigniemy się z beznadziejności, jeżeli nie wykształcimy w sobie choćby odrobiny życalwości a priori - dla zupełnie niezamierzonych, dla obcych. Czasem, w miejscach zatłoczonych - nie tam, gdzie tłum zebrał się spontanicznie, ale tam gdzie miał powstać: w posiggu, w zatłoczonym sklepie, tramwaju, windzie - widzę takie ciężkie, obolałe, niedobre spojrzenia, którymi ludzie obrzucają się nawzajem.

Czytam w tych spojrzeniach, że ten facet, ta graba białe, ten dręcy się bachor - bo w zrych spojrzeniach są różnice zła słowa - przeszkadzają nam, irytują, są naszymi wrogami - przez sam fakt, że są. Zabierają nam miejsce, powiatrze do oddychania, spokój, ciszę.

Należy wtedy pomyśleć, że my to samo zabieramy im. Spróbować przez sekundę spojrzeć na stojącego obok człowieka - inaczej. Dostrzec go, wylawic z anonimowego tłum. Zastanowić się jaki jest. Co mu głęga? Co go spotkało? Co myśli? Jaki jest naprawdę, kiedy zniknie mu ta zła zmarszczka na czole, kiedy mówi do daleka, do żony, do swojego psa? Gdybyśmy częściej nie tylko parzyli, ale **d o s t r z e g a -** **l i** się, spojrzenia pewnie by nam złagodniały.

Kilka słów o zjawisku pozornie marginalnym, a przecież ważnym - o kolejce. Po jakiś atrakcyjny towar, a zwłaszcza po to niebezpieczne mięso. Kolejka i to, co się w niej odbywa - to coś skutecznie odczłowieczającego, degra'ującego. Ten napór ciała i bezsensowne klejenie się do siebie, byle być jak najbliższej upragnionej wagi. To łowienie uchem szmeru na zapleczu, zgadywanie, czy już dowieźli, czy już jest dostawa. Te gorączkowe i "głębokie" uwagi na temat gatunku mięsa. Te prośalne spojrzenia i ugrzeczenie wobec ekspedientki, ugrzeczenie - gotowe w każdej chwili przerodzić się w agresję.



I ta solidarna nienawiść do każdego, kto chcieli się podstępnie wkreślić - ale i do tego, kto jest naprawdę chory, naprawdę stary, naprawdę nie może stać. Ludzie, głazie indziej mili i kulturalni, tutaj nagle zatrucają swoje ludzkie cady.

Grego modelem jest tała kolejka? Zredukowanie pragnienia do rzaszki, przajpłotu, dotkliwa poczucie zmarnowanego czasu, upokorzenia, izolacji od innych, szkoła służalczości, szkoła nienawiści...

Może tacy namy być? Może ktoś właśnie chce, abyśmy tacy byli - a my dobrowolnie, z zapałem, przez nikogo nie zmuszani - realizujemy ten plan? Czy nie należy powiedzieć: Nie? Choćby na tym drobnym odcinku naszej egzystencji, drobnym, ale jakie typowym.

Mieś zawsze ze sobą książkę, otworzyć ją, zagłębić się w czytaniu. A jeśli się zapomniało ją wziąć - to powiedzieć sobie: nie dam się wciągnąć w psychiczne trzęsawisko kolejki, załam sobie dalsz trud ostentacyjnej chętności i wyrozumiałości, choćby na złóci, choćby dlatego, żeby być sobą, a nie tym, kogo ktoś chce zrobić ze mnie.

Pokrzyżuje jego plan. To od razu przywróci nam trochę godności, odrobinę poszerzy przestrzeń naszej wolności wewnętrznej. I wtedy śmieszne i nieważne stają się nagle te puste haki i problem, czy dojdzie do mnie krakowska parzona!...

## 8. Młodzi i starzy

Najbardziej ściera mi się serce kiedy - w aspekcie nadziei - myślę o młodych. O ich braku perspektyw i zagrożeń, w które wchodzi. Od zakurzonego powietrza, wody, naturalnego środowiska - po zatrucie woli, charakterów, godności.

Ale młodzi mają ten wielki atut... że są młodzi. Nawet w świecie smutnym, cieszą się zawsze jakby "po drodze" wszystkimi radościami ich wieku. Sprawnością, zdrowiem, miłością, odwagą, pewną lektonomyślnością, zamiłowaniem do ryzyka. Drugą szansą młodości jest historia i to, czego ona uczy. że nic nie jest trwałe, że wszystkie potęgi - pozornie niewzruszone - kruszą się. I, co ważniejsze - że dziś na wielkie zmiany nie czeka się

dziesiątki lat, tak jak dawniej.

Świat nabral przyspieszenia i nabiera go w dalszym ciągu. Teraz parę lat to okres, w którym zmieniają się świadomości całych narodów i wała się imperia. Historia ma dla nas w zdrańdzu różne niespodzianki, parę lat temu przesyło się jedną z nich, następne też przyjdą, o to możemy być spokojni. Więc szansą młodych jest to, że mają przed sobą **á u ż o c z a s u**.

A starzy? Szansą starych jest z kolei to, że mają przed sobą **m a ł o c z a s u**. Że moment decydującego przejścia na tamtą Stronę i zdania Rachunku jest już przed nimi bardzo blisko. Łatwiej im więc oderwać się od zachłanności, egoizmu, próżności nagarniania dla siebie, łatwiej uwolnić się od zawiści i skoncentrować na tym rachunku, który muszą zdać.

Niestety, bolesnym i trochę kuriozalnym zjawiskiem naszych czasów jest degradacja starości. To ludzie starzy są dziś najlepszymi odbiorcami i siewcami atmosfery strachu. To oni są najbardziej spragnieni władzy, zaszczytów, orderów, talonów, przydziałów, pochwał, dopuszczenia do konfidencji i wszelkich okrucichów z pańskiego stołu. Najdroższe są dla nich przedmioty, posiadanie, zaspokojona próżność - najtańsza godność.

Wien, że to ostre słowa, i że nie wolno ich uogólniać. Wielu jest również seniorów wspaniałych, mogących być przykładem dla wszystkich młodych. Ale pomyślmy - w chwilach ważnych społecznych i etycznych egzaminów, w momentach, kiedy trzeba się za czyns opowiedzieć i coś **w y b r a ć** - za jaką grupę najczęściej musimy się wstydzic?..

Muszę przyznać, że oprócz uczucia niesmaku, mnie jest ich po prostu strasznie żal. Mogę sobie bowiem wyobrazić ich przerażenie i rozpacz, kiedy w ostatnich godzinach życia; zrozumieją **z a c z y m** się uganiali. A zrozumienie tego wcześniej jest właśnie wielką szansą starości.

## 9. Pytanie o szczęście

Żeby sobie pomóc w zdobywaniu nadziei, trzeba sobie to pytanie często zadawać. Czym jest szczęście? Ale nie jako pojęcie abstrakcyjne, tylko czym jest **m o j e** szczęście?, czego ja osobiście pragnę? Co mnie może zaspokoić i uspokoić? Czy to na pewno jest rzecz, przedmiot,

którego nie posiadamy i który pragniemy zdobyć? Czy to na pewno kariera, popularność, status, spokój, zaspokojona próżnia? Czy - jeśli to zdobędę - to uważam, że to właśnie to?

A może szczęście to coś trochę innego? Może spokój sumienia? Może sukces - ale nie ten, materialny dyplomami, nagrodami i przewidywaniami - ale prawdziwy, ludzki sukces? Może moje szczęście to przezwyciężenie strachu, odniesienie jakiegoś zwycięstwa nad sobą?

Wartość sobie te pytania często zadawać i sprawdzać się. Imadziej będącym podjąłbym działania bezsensowne i marsze w niekiedy słabych kierunkach, a to tylko pogłębiłoby frustrację i mocniej osadzi nas w beznadziejności.

Pamiętam także zdanie z jednej z lektur: "Szczęście to nie jest stacja docelowa, ale sposób podróżowania". Może znajdujemy to szczęście, a razem z nim nadszliśmy w sposób naszego podróżowania przez życie?

Nie chciałabym, aby ten tekst wywołał w nas poczucie ex cathedra z pozycji oschy, która już wie i ma wszystkie wątpliwości i załamania za sobą. Ja również - podobnie jak wszyscy - szukam. Szukam sensu i nadziei, czasem to znajduję, potem znów mi się to wyryka z rąk, potem znajduję ponownie.

I za każdym razem trzymam to w ręku trochę mocniej i znacznie dłużej. Dzielę się więc uczuciami zarówno moimi sukcesami, jak i niepowodzeniami w szukaniu nadziei. Tej nadziei na dziś, na jutro, na najbliższą przyszłość!

A jak jej szukać na przyszłość najdalej, tę, która znajduje się już poza programem?

To już każdy musi robić sam, na własny rachunek, pod warunkiem, że ma w ręku właściwy klucz. Ten klucz - to zdanie, od którego zaczął: **J e s t e ś m y c h r z e ś c i j a n a m i .**

---

#### PREMIUM PO GWŁĄCACH

Ukazała się niezwykła książka zatytułowana "Przewodnik po ZSKR, jego obozach i więzieniach". Autorem



tego jedynego w swoim rodzaju przewodnika jest Abraham Szifrin, radziecki Żyd, adwokat, aresztowany w 1953 roku w Moskwie i skazany /po sfalshowaniu wyroku śmierci/ na 25 lat obozów pracy. Z tych 25 lat przesiedział 14. Warto dodać, że oficer Abrahama - Izaak Szifrina został aresztowany wcześniej za odpowiedzialnie dowództwo o Stalinie i zmarł po 10 latach pobytu w galasu.

W 1970 r. Szifrin uzyskał zgodę na emigrację do Izraela; gdzie wydał kilka książek opisujących swoje przeżycia w obozach i więzieniach radzieckich. Obecnie stoi na czele Instytutu Badawczego "Research Centre for Prisons, Psychoprisons and Forced-Labor Concentration Camps of the USSR".

"Przewodnik" jest drobiazgowym opisem ok. 2000 radzieckich obozów i więzień z podziałem na obwoły i podrzaje sądków karnych. Zawiera mapy obwołów i miast z zaznaczonymi miejscami, gdzie znajdują się gułagi, plansze niektórych więzień, wstrząsające zdjęcia. W tekście są zwięzłe listy nazw i zoznania byłych więźniów. Całość jednak utraciła jest w konwencji przewodnika turystycznego, adresowanego do zachodnich turystów odwiedzających ZSRR, i tym większe robi wrażenie. Z tego wrażenia trudno otrząsnąć się po przeczytaniu książki.

Streszczenie "Przewodnika" na łamach "Zeszytów Niezależnej Myśli Lekarskiej" jest niemożliwe. Omówimy tylko kilka tematów, które powinny szczególnie zainteresować czytelników naszego pisma.

Na początku liczbą: w obozach ZSRR od roku 1917 do 1980 /rok wydania książki/ zginęło ponad 60 milionów ludzi. Wielokrotnie więcej przeszło /i przeżywa/ straszliwe lata tortur, udręsk, upokorzeń i katorżniczej pracy.

W "Przewodniku" zakłady karne podzielono na więzienia, więzienia o zaostrzonym /lub specjalnym/ rygorze, obozy pracy, obozy dla kobiet i dzieci, obozy zagłady /tak!/, wreszcie szpitale i więzienia psychiatryczne, gdzie osadza się dysydentów i poddaje specjalnej "terapii".

Zatrzymany się na obozach zagłady i zakładach psychiatrycznych.

Do obozów zagłady zaliczono te gułagi, w których więźniowie zmuszeni są do pracy w tak szkodliwych dla zdrowia warunkach, że nie mają szans na przeżycie. Tak więc w obo-

zach dla więźniów pracujących w kopalniach rudy uranowej i przy jej przerobie, niemal wszyscy zapadają na chorobę popromienną i giną. Zbyt mało o tych cbozach wiedzieliśmy do tej pory. Takich obozów kilka jest w Kazachstanie /półwysep Mangusztak na Morzu Kaspijskim; Akau, Celinograd itd./, w uzbekkiej SSR /Ałmatyk, Leninsk, Biechabad i inne/, w kraju Primorskim w obwodach wołgogradzkim, kinowskim, zakaukaskim, w Tadżyckiej i Kirgiskiej SSR /słynne Frunze - m.in. uzdrowisko z wodami radioaktywnymi!/. Więźniowie chorzy - niezdolni już do pracy - wywożeni są do specjalnych obozów dla inwalidów, gdzie umierają.

Obozami zagłady nazywa się również te, w których więźniowie zatrudnieni są w przemyśle zbrojeniowym: w fabrykach głowic atomowych - Czelabinsk, obwód kamczacki - gdzie znajdują się bazy atomowych okrętów podwodnych. Więźniowie czyszczą dysze silników atomowych bez odzieży ochronnej; są więc bezpośrednio narażeni na promieniowanie. Zgodnie z relacjami lekarzy większość z nich zachorowuje na choroby krwi: białaczkę i anemię aplastyczną i ginie w ciągu 2-3 lat.

Trzecim rodzajem obozów śmierci są te, w których więźniowie pracują w warunkach szkodliwych i przy pracach szczególnie niebezpiecznych, powodujących kalectwo lub ciężkie choroby. Słynne z tego są kopalnie diamentów i złota. Od lat setki tysięcy więźniów zwożono statkami do portu Magadan nad Morzem Ochockim, "stolicy złotodajnego obwodu". Więźniowie żyją tam i pracują w niezwykle prymitywnych warunkach.

Ilustracją tej sytuacji może być opowieść lekarza "z wolności" pracującego na tych terenach. Pewnego dnia w 1977 r. zobaczył on jak kobiety-więźniarki stojące przy taśmociśgu ustami zdmuchują kurz ze złota przed jego zapakowaniem do transportu. Na pytanie, dlaczego kobiety muszą wykonywać tę szkodliwą dla zdrowia pracę i czy nie ma do tego urządzeń, usłyszał odpowiedź nadzorca: "Urządzeń jeszcze nie ma, ale plan wydobywania złota już jest". Być może w latach osiemdziesiątych dmuchanie się skończyło i przybyło odpowiednich urządzeń, ale obozy pozostały.

Podobne warunki panowały w fabryce maszyn rolni-

czych w Dzierżyńsku /obwód Gorki/. Zacytujmy za Szifrinem relację jednego z więźniów:

"Nie pracowałem bezpośrednio w produkcji, lecz przy malowaniu gotowych wyrobów lakierem nitro. Pracowaliśmy po 8 godzin dziennie i przy końcu zmiany byliśmy zawsze jakby podchmieleni od oparów acetonu, gdyż rozpylacze obsługiwane były ręcznie, maski ochronne zawsze były uszkodzone i wdychaliśmy truciznę. Przypominam sobie, że gdy mój przyjaciel Siergiej Kargacz w taki sposób uległ zatruciu, stracił przytomność i nieśliśmy go do ambulatorium, dozorca powiedział: "Ten jest pijany!". Po upływie pół godziny Siergiej zmarł".

Takich obozów, z których większość więźniów już nie wraca, przewodzi wymienia 41.

Dla nas - lekarzy - szczególnie wstrząsające jest istnienie szpitali dla chorych umysłowo; będących w istocie więzieniami psychiatrycznymi dla ludzi zdrowych. Jest to tym bardziej przerażające, że pracują w nich ludzie mający dyplomy lekarskie, którzy stosują metody psychiatryczne w celach represyjnych z pełną świadomością; że mają do czynienia z ludźmi zdrowymi.

Możnaby długo zastanawiać się nad tym, jaki jest mechanizm przekształcania młodego człowieka, otrzymującego dyplom lekarski, w sadybę stosującego metody medyczne dla udrczenia i faktycznego zabicia psychiki drugiego człowieka. Boś przecież nie jest możliwe, by "lekarze" ci rzeczywiście wierzyli, że nikt, kto nie jest chory psychicznie, nie może przeciwstawić się władzy komunistycznej, wyznawać wiarę w Boga lub pragnąć emigracji z ZSRR?

Nie rozważajmy teraz tej sprawy. Wracamy do "Przewodnika" i faktów, które bezamiętnie opisuje. Istnieje aż 85 placówek psychiatrycznych, w których są więzieni lub przejściowo traktowani lekami psychotropowymi więźniowie polityczni. Aż 17 z nich mieści się w Moskwie lub obwodzie moskiewskim, a 10 w Leningradzie i okolicach. Kilka specjalnych oddziałów psychiatrycznych znajduje się w pięknym Soczi, gdzie tysiące turystów kąpie się w ciepłym morzu.

Ta forma kary przewidziana jest przede wszystkim dla dysydentów i więźniów sumienia. Bywają oddziały lub sale specjalne dla więźniów w zwykłych szpitalach psychiatrycznych lub też wydzielone więzienia psychiatryczne przeznaczone



czone teoretycznie dla tych chorych psychicznie, którzy popełniają przestępstwa pospolite i muszą rzeczywiście być leczeni i izolowani.

Poza nimi, do takich właśnie zakładów zsyłani są dy-  
sydenci, zielonoświątkowcy, praktykujący prawosławni,  
katolicy, Żydzi. Stosowanie metod psychiatrycznych  
/zresztą takich, których już się na ogół nie stosuje  
we współczesnej psychiatrii/ wobec ludzi zdrowych jest  
samo przez się torturą; trzeba dodać, że według zeznań  
świadców pacjenci w większości tych "zakładów leczni-  
czych" traktowani są ze szczególnym sadyzmem.

Tak np. Wiktor Borowski, aresztowany za przygotowa-  
nie referatu o pracach Sołżenicyna i uznany za chorego  
umysłowo, napisał w szpitalu psychiatrycznym w Sławień-  
sku /obwód doniecki/: "Pielęgniarki są stale pijani,  
biją każdego, kto im trafi w ręce, budzą pacjentów  
w nocy, kpią z nich i każą im tańczyć".

Jedną z tortur często stosowanych wobec więźniów  
politycznych uznanych za chorych psychicznie w wielu  
szpitalach-więzieniach, np. w lewinańskim szpitalu  
Nr 6, było zakładanie mokrego kaftanu bezpieczeństwa,  
który wysychając ścisnął niemiłosiernie ciało.

Informacji o specjalnym szpitalu psychiatrycznym  
w Czerniachowsku w obwodzie kaliningradzkim dostarczył  
całemu światu niedawno zmarły generał Piotr  
Grigorienko; bezprawnemu stosowaniu przymusu w stosunku  
do zdrowych ludzi w Naukowym Instytucie Badań Psychiatrycznych  
w Charkowie przeciwstawiał się uwolniony obec-  
nie dr Anatolij Koriagin.

Do szpitala psychiatrycznego można trafić z więzie-  
nia lub obozu pracy jako kara za złe zachowanie. Zdarza  
się przewiezienie bezpośrednio po zatrzymaniu przez  
KGB. Zdarza się też i tak, jak to opisał Klebanow -  
jeden z rosyjskich działaczy na rzecz praw człowieka  
z Moskwy, który próbował wraz z robotnikami założyć  
związek zawodowy.

W tej sprawie interweniował na różnych szczeblach  
władz, aż wreszcie trafił do biura Prezydium Rady Naj-  
wyższej ZSRR, gdzie jeden z urzędników zaprowadził go  
do pokoju, do którego w chwilę potem wkroczyło czte-  
rech mężczyzn w białych fartuchach żądając aby poszedł

wraz z nimi.

Gdy odiołwił, mówiąc iż nie potrzebuje pomocy medycznej; obezwładnili go, założyli maskę na twarz i wyprowadzili tylnymi drzwiami do stojącej na podwórzu karetki pogotowia. Zawieziono go do szpitala psychiatrycznego Nr 14, gdzie lekarz dyżurny po krótkim badaniu /?!/ oświadczył: "Chory ma niesyrytmaczną obsesję osobistego poszukiwania praworządności, prócz tego występują u niego objawy manii prześladowcząj. I tak został zaliczony do chorych umysłowo, rozpoczęła się kuracja. Przepiępstwa nie było, tylko "choroba", nie było więc też procesu.

"Przewodnik" wspomina też o tym, że w Moskiewskim Instytucie Hematologii i Przetaczania Krwi, na 12 piętrze znajdował się Cidział Specjalny, na którym więźniowie poddawani byli eksperymentom medycznym.

Lokalizacja każdego ze szpitali psychiatrycznych i więzień dokładnie jest określona w przewodniku. W miastach wskazane są linie autobusowe lub linie metra wraz z przystankami, na których należy wysiąść, aby do danego zakładu dotrzeć. Nie brak nazwisk zbrodniczych lekarzy i pielęgniarzy.

Nie będziemy przytaczać tu więcej szczegółów. Nie jest to potrzebne; te, które podaliśmy, wystarczą aby scharakteryzować niezwykłą książkę, jaka jest "Przewodnik po ZSRR; jego obozach i więzieniach". Wystarczą one też; aby uzmysłowić rozmiar zbrodni, a także rozmiar zniszczeń, jakie w psychice ludzi, nie tych z więzień, tych na "wolności" - dokonał nieludzki system. Chcielibyśmy wierzyć, że w ciągu najbliższych lat choć część tego przewodnika straci swoją aktualność.

---

#### LIST DO DRA A.KORIAGINA

Radziecki lekarz, dr Anatolij Koriagin, ostatnio wyszedł z więzienia. Skazany był bezprawnie na 7 lat za organizowanie protestu przeciw umieszczaniu tzw. "dysydentów" w zakładach psychiatrycznych. Grono polskich lekarzy wystosowało do niego zamieszczony poniżej list.

Doktor Anatolij Koriagin  
Charków USRR

Wielce Szanowny i Drogi Panie Doktorze,  
w imieniu polskich lekarzy pragniemy wyrazić naszą radość z powodu Pańskiego powrotu do domu po tak długim pobyciu, w więzieniu, naszą solidarność z Panem oraz największe uznanie za wszystko, co Pan uczynił w walce o prawa ludzkie. Jednocześnie chcemy zapewnić Pana, że również motywem naszych dążeń jest to, aby medycyna nigdy i nigdzie nie była wykorzystywana przeciw człowiekowi, a służyła w pełni obronie jego życia, zdrowia i godności.

Z wyrazami szacunku

Jadwiga Dwilewicz /internista/,  
Marek Edelman /kardiolog/, Witold  
Karczewski /neurofizjolog/, Maria  
Kopeć /radiobiolog/, Marek Kulerski  
/pediatra/, Zofia Kuratowska /inter-  
nista/, Irena Łojak /psychiatra/,  
Irena Malcużyńska /psychiatra/,  
Lidia Miścińska /psychiatra/,  
Bożena Pietrzykowska /psychiatra/.

Warszawa, 9 marca 1987 r.

Lektor

ZBRODNIE BIERUTA

Jako kolejny tom Biblioteki Kwartalnika Politycznego "Krytyka" ukazała się nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej niezwykle książka. Autorem jest Łukasz Socha /chyba pseudonim/. Niezbyt fortunny /choć zapożyczony z "Pana Tadeusza"/ tytuł brzmi: "Te pokolenia żałobami czarne...". Podtytuł wyjaśnia sprawę: "Skazani na śmierć i ich sędziowie. 1944-1954".

Niezwykłość książki polega na tym, że autor po raz pierwszy zgromadził i opublikował dokumentację



zbrodni politycznych, popełnianych w pierwszych latach po wojenach "z majestacie prawa", czyli zbrodni polegających na wymierzaniu przez sądy kary śmierci w procesach, w których oskarżani byli ludźmi niewinnymi. Z dokumentacji autora wynika niezbicie, że jedynym powodem orzekania kary śmierci były względy polityczne: w ten sposób władze komunistyczne rozprawiły się ze świątymi rzeczywistości lub urojonymi wrogami. I wynika jednoznacznie, że człowiekiem bezpośrednio odpowiedzialnym za te zbrodnie był ówczesny dyktator Polski Bolesław Bierut.

Ludzie interesujący się tamtymi czasami lub pamiętający je z własnych doświadczeń wiedzą, że tego rodzaju procesy odbywały się, znają nazwiska generałów i innych wojskowych, skazanych na karę śmierci, wiedzą, że na ławie oskarżonych zasiadali starzy komuniści, słyszeli, że przygotowywano procesy przeciw Gomułce czy Spychalskiemu. Zasługą autora jest udokumentowanie tych zbrodni i tego bezprawia.

Niektóre fragmenty książki Łukasza Sochy były już publikowane na łamach kwartalnika "Krytyka" i np. prof. Krystyna Karsten w swej doskonałej pracy pod tytułem "Korodźczy system władzy. Polska 1943-1948" na nie się powołuje. Ale obecnie autor rozszerzył i usystematyzował wyniki swych badań archiwalnych i nie można sobie wyobrazić, by historycy mogli w rzetelny sposób przedstawiać dzieje owego okresu bez wykorzystania zgromadzonych przezeń materiałów.

Jednym z nich jest "Protokół otwarcia kas zawierających dokumenty pozostałe po Bolesławie Bierucie i dokumenty przekazane przez Jakuba Bernana". Autor, co jest zrozumiałe, nie ujawnia, w jaki sposób wszedł w posiadanie Protokołu. "Dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności - pisze - trafił w nasze ręce o ogromnej wagi dokument z archiwum Bolesława Bieruta. Bez znajomości tego dokumentu nie można dziś napisać historii Polski Ludowej. Ale jego wartość nie tylko na tym polega, że zawarte w nim są informacje o słabo, bardzo słabo dotychczas znanych faktach dotyczących systemu sprawowania władzy i nadużyć władz bezpieczeństwa w okresie od połowy 1948 roku do początku 1956 r. Jego wartość polega również - a może przede wszystkim - na tym, że obnaża on bezlitośnie właśnie metody fabrykowania wrogów państwa, "elementów antysocjalistycznych", jeśli posługiwać się dzisiejszą terminologią, szpiegów, zamachowców, spiskowców, trockistów itd."

"W trakcie poszukiwania materiałów - pisze autor na

innym miejscu - natrafiliśmy w archiwum na źródła dotyczących całkowicie nieznanego ani historykom dziejów PRL i hagiografom B. Bieruta, ani "Wakwalczoń" władzy - monografistom "walk z reakcyjnym podziemiem zbrojnym". Nie podajemy archiwum /archiwów/, gdzie się te materiały znajdują, ani sygnatur, pod jakimi figurują. Czynimy to celowo, aby uchronić ludzi, którzy nam je udostępniili, przed srykanami, i dokumenty przed zniszczeniem czy usunięciem ich w nieznanym miejscu, jak to się często dotąd zdarzało. Niemniej mamy nadzieję, że przyjdzie jednak czas, gdy wszystko to zostanie ujawnione. Korzystaliśmy również z materiałów utajnionego opracowania, którego tytułu i nazwiska autora nie podajemy ze zrozumiałych względów".

x

x

x

Książka Łukasza Sochy jest rozbudowanym i dobrze uzasadnionym aktem oskarżenia przeciw Bolesławowi Bierutowi. Zgromadzone dokumenty nie pozostawiają wątpliwości, że Bierut był agentem sowieckim, gorliwie i skrupulatnie wykonującym polecenia otrzymywane z Moskwy. Wiernie służył swym mocodawcom od lata 1944 roku, kiedy przesłał do Moskwy donos na kierownictwo PPK, aż do wiosny 1956 roku, kiedy nagle zmarł po XX zjeździe KPZR. Dowiadujemy się o tym w sposób miarodajny z partyjnego dokumentu, jakim jest wspomniany już "protokół otwarcia kas...".

Donos ów Bierut przesłał do Moskwy w czerwcu 1944 roku, posługując się językiem rosyjskim i podpisując się "Zwańczuk". Adresatem był Dymitrow, którego Bierut informował, że "Gomułka ma chwiejną postawę polityczną" i popełnia różne inne grzechy. "Nikt nie dowiedziałby się o tym donosie - czytamy - gdyby sam Bierut nie zwrócił się do Moskwy z prośbą o przesłanie mu odpisu, który zdążył nadejść na, tydzień przed plenum /KC partii/ sierpniowo-wrześniowym 1948 roku. Starczyło więc czasu, by go przetłumaczyć z rosyjskiego na polski i pochwalić się przed kim trzeba, że już w połowie czerwca 1944 roku Bierut był tak czujny, iż wówczas ostrzegał przed Gomułką i jego postawą... Ciekawy to przyczynek do studiów

nad psychiką walczących o władzę w partii i w państwie".

Dowiadujemy się o tym wszystkim z "protokołu otwarcia kas", przeznaczonego z pewnością dla najbardziej wtajemniczonych z kierownictwa partyjnego i raczej nieoczekiwanie teraz ujawnionego. Socha zaznacza, że nie wiadomo, kto był autorem /czy autorami/ "protokołu" i kiedy został sporządzony. Musiało to się stać po śmierci Bieruta, po usunięciu Bermana z Biura Politycznego, po Październiku 1956 roku i po VII /październikowym/ plenum Komitetu Centralnego.

"Protokół" zawiera liczne dokumenty i materiały, zaopatrzone sześćkroć odręcznymi notatkami Bieruta, a dotyczące najbardziej poufnych - i najbardziej bezprawnych - poczynań owych lat, jak przygotowania do procesów Gomułki i Spychalskiego, sprawy Lechowicza i Jaroszewicza, sprawy braci Fieldów itd.

Jednym z ostatnich chronologicznie dokumentów jest przygotowany na początku 1956 roku siódmy projekt aktu oskarżenia przeciw Spychalskiemu, "odręcznie poprawiony przez Bierutą, który właśnie udawał się z delegacją KC PZPR na XX Zjazd ZSRR do Moskwy. Proces Spychalskiego miał się odbyć po powrocie Bieruta z Moskwy. Jego śmierć umożliwiła wyjście Spychalskiego na wolność w maju 1956 roku, a ogłoszona w kwietniu 1956 roku amnestia uwolniła ponad 30 tysięcy więźniów, w tym prawdopodobnie 5-6 tysięcy więźniów politycznych".

Jeśli sprawy skazanych na karę śmierci generałów, przygotowani do procesów Gomułki czy Spychalskiego lub aresztowanie Amerykanów Fieldów były, przynajmniej w pewnych kołach, stosunkowo dobrze znane, to z wyjątkiem najbliższych rodzin nikt nie wiedział o losach właśnie tysięcy innych ofiar szalejącego terroru, bezpodstawnie więzionych i jakże często skazywanych na śmierć lub długoletnie więzienia. Łukasz Socha zdołał odnaleźć w materiałach archiwalnych informacji o 661 osobach skazanych w latach 1944-1946 przez sądy wojskowe na karę śmierci i sporządził szczegółowy ich rejestr zajmujący większą część książki.

Nie mogę tu przytoczyć nazwisk skazanych, ani omówić ich procesów. Poprzestanę na ogólnych uwagach autora i na zacytowaniu jednego wymownego przykładu. W większości spraw "nikt nie bronił oskarżonych, nawet adwokat z urzędu" /choć było to przewidziane/. "A przecież nikt - nawet domniemany"



zabójca - nie powinien być pozbawiony obrony. Najczęściej sędzieli byli ludzie młodzi, dotychczas nie karani, niemal analfabeci, a więc tym bardziej bezbronni wobec surowych sądów "wojskowych". Dodajmy, że po orzeczeniu kary przez sąd, sprawy z reguły trafiały do Bieruta, który jako prezydent mógł skorzystać, - lub nie skorzystać - z prawa łaski. W większości wypadków nie korzystał i wyrok śmierci był wykonywany.

Jako charakterystyczny przykład chcę wymienić sprawę Franciszka Borsuka, szeregowego MO w Choroszczycy, urodzonego w Nowoświęcianach w rodzinie chłopskiej 12 października 1927 roku, który ukończył 3 oddziały szkoły powszechnej.

"Oskarżony był o to, że z kilkoma milicjantami zdezerterował 29 kwietnia 1945 roku z posterunku - miał więc wtedy 17 lat - i przystąpił do bandy NZW, przeprowadził około 30 rewizji, rozbijał żołnierzy WP, posługiwał się fałszywym dowodem. Borsuk stanął przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Białymstoku 16 lipca 1946 roku. Na rozprawie odwołał wszystkie zeznania złożone w śledztwie, stwierdzając, że składał je pod przymusem, i oświadczył, że nie przyznaje się do winy, gdyż działał na rozkaz komendanta posterunku MO w Choroszczycy, Konstantego Ostapczuka, od kwietnia do czerwca 1945 roku, a nie do października 1945 roku, bo był ranny w prawą rękę.

Złożył on skargę rewizyjną, ponieważ uważał, że jest niewinny zarzucanych mu w akcie oskarżenia czynów. Skład sędzący Wojskowego Sądu Rejonowego skazał go wprawdzie na karę śmierci, ale uznał we wniosku do Najwyższego Sądu Wojskowego, że ze względu na niekaralność, młody wiek, niedoświadczenie życiowe, przystąpienie do bandy - z namowy starszych kolegów i pod ich wpływem, zasługuje na ulaskawienie i zamiast kary śmierci na 10 lat więzienia.

Z kolei Najwyższy Sąd Wojskowy przesłał akta sprawy do Wydziału Prawnego Biura Prezydzialnego Krajowej Rady Narodowej, gdzie wicedyrektor tego wydziału, Adam Wendel, napisał 12 sierpnia 1946 roku we wniosku, że skazany jest repatriantem, wstąpił do MO nie mając 17 lat, przyłączył się z bronią do bandy,

wraz z pięciu milicjantami, na rozkaz komendanta, mieli na niego wpływ starsi koledzy - celowa jest więc zaniżana kary śmierci na 10 lat więzienia.

Wniosek przedłożony został Bierutowi, który początkowo - 17 sierpnia 1946 roku przychylił się do wniosków składu sądzącego oraz Wydziału Prawnego i napisał, żeby skazanemu zmienić karę śmierci na 15 lat więzienia. Decyzja ta jednak przez niego samego została starannie przekreślona wraz z dalszym ciągiem, gdzie udało nam się odszyfrować tylko jakieś słowa dotyczące ambasady ZSRR w Warszawie /Borsuk był repatriantem, a więc obywatelem radzieckim przed przyjazdem do Polski/, po czym z datą 27 sierpnia 1946 roku Bolesław Bierut zamknął: "Nie skorzystam z prawa łaski".

Sam Bierut uznał widocznie sprawę 17-letniego Borsuka za typową, gdyż w związku z nią "na czterech stronach odręcznie swym charakterystycznym drobnym pismem gromił surowo zarówno Rejonowy, jak i Najwyższy Sąd Wojskowy za ich "włoski". Swym urzędnikom nakazał sporządzenie odpisów tego elaboratu i rozesłanie ich jako "pisma okólnego /czy dyrektywy otrzymanej, być może, właśnie w ambasadzie ZSRR/" do prezesa Najwyższego Sądu Wojskowego, ministra sprawiedliwości itd.

Całokształt zgromadzonych dokumentów i odczytanych własnoręcznych anotacji Bieruta upoważnia Łukasza Sochę do takiego wniosku: "Bierut koordynował i skupiał w swych rękach wszystkie ważniejsze sprawy /sądowe/. Formulował tezy oskarżenia, wyrażał osobiście zgodę na aresztowanie członków iziakaaczy partyjnych i państwowych, sugerował kierunki śledztwa, aprobował akty oskarżenia, wnosił do nich poprawki, czynił uwagi, skreślał, dopisywał, podkreślał ... Nie można mu odmówić pracowitości... Bolesław Bierut zmarł w chwale. Za rządów E.Gierka ukazała się jego hagiografia pióra H.Rechowicza, przedstawiająca go jako dobrotliwie panującego, sprawiedliwego komunista i uczciwego człowieka. Nie ma to wiele wspólnego z prawdą. Dokumenty jego archiwum są wymownym świadectwem tego, że był człowiekiem bezwzględny, mściwym i niełojalnym, że był politykiem typu stalinowskiego".

x

x

x

Głównym tematem omawianej książki są losy ludzi skazanych bezprawnie na śmierć. Ale autor nie byłby rasowym his-

torykiem, gdyby nie wykorzystał udostępnionych mu materiałów archiwalnych do zbadania innych nasuwających się zagadnień. W szczególności zainteresowało go pytanie, ile było ofiar terroru stalinowskiego /czy bierutowskiego/ w pierwszych latach powojennych, a po drugie, jaka jest prawda o tak zwanej "wojnie domowej", na którą wciąż powołują się historycy partyjni w rodzaju osławionego Tadeusza Walichmowskiego.

Odpowiedź na pierwsze pytanie nie jest łatwa, gdyż władze państwowe, a w tym aparat służby bezpieczeństwa, nie prowadziły żadnych statystyk. "Wrogów" mordowano częstokroć po cichu, a dowiadywały się o tym - i to też nie zawsze - ich najbliższe rodziny. Po dokładnym zbadaniu istniejących danych archiwalnych Łukasz Socha dochodzi do następujących wniosków.

"Do liczby 2,5 tysięcy osób skazanych na śmierć, z których większość stracono w latach 1944-1948, musimy dodać około 10 tysięcy zabitych bez sądu, zamordowanych w śledztwie, zabitych na ulicy czy na polu, pochowanych często tajnie na cmentarzyskach czy w ogródkach wokół budynków powiatowych urzędów bezpieczeństwa albo topionych w rzekach i stawach, porzucanych w lesie i na łąkach.

Dodać do nich trzeba jako ofiary represji 100 czy 150 tysięcy więźniów politycznych, skazanych za przestępstwa antypaństwowe na kary długoletniego więzienia. Dopisać do tego należy około 50 tysięcy AKowców wywiezionych z ziem polskich /łącznie z Wileńszczyzną, wschodnią Galicją, Wołyniem i Polesiem/ w głąb ZSRR w latach 1944-1945. Drugie tyle Polaków wywieziono zimą-wiosną 194. r., głównie z Pomorza, Górnego Śląska i Wielkopolski, na "roboty" do ZSRR, po przeprowadzeniu obław i łapanek na ludzi zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej na te tereny. Większość z wywiezionych nie powróciła w ogóle, prawdopodobnie zginęli, zmarli; pozostali wrócili do kraju po 1955 roku wraz z tymi obywatelami polskimi, Opolanami i Mazurami, którzy jako żołnierze Wehrmachtu trzymani byli w niewoli radzieckiej przez 10 lat po wojnie.

W ten sposób dochodzimy do liczby około 250 tysięcy Polaków represjonowanych w ten czy inny sposób po



wojnie... Jeśli pomnożymy ową liczbę represjonowanych przez liczbę członków ich rodzin, które w mniejszym czy większym stopniu płaciły za ciężki los swych bliskich, utraconych na długo lub na zawsze, dojdziemy do wniosku, że co najmniej milion Polaków /i to z rodzin najaktywniejszych społecznie i politycznie/ było dotkniętych bezpośrednio lub pośrednio przez terror. A jeśli doliczymy do nich tych, którzy znali ich jako kolegów z pracy, jako sąsiadów, krewnych, przyjaciół - wówczas okaże się, że dotkniętych terrorem /też pośrednio, bo w sferze psychicznej/ było przynajmniej kilka milionów osób".

Są to liczby przerażające, ale ludzie starsi, którzy z własnych doświadczeń pamiętają pierwsze lata powojennej Polski, nie będą nimi zaskoczeni.

Nieco bardziej skomplikowana jest sprawa "wojny domowej", która jakoby toczyła się w Polsce w latach 1944-1948. Skomplikowana o tyle, że w ciągu minionych czterdziestu lat historycy i publicyści podają wciąż zmieniające się informacje o prawdziwych czy rzekomych ofiarach tej wojny. Zmiany polegają na tym, że z upływem lat rosła liczba ofiar po stronie aparatu władzy.

Obechnie najczęściej można przeczytać, że w czasie "wojny domowej" poległo łącznie 30 tysięcy osób, przy czym straty po stronie "band" i "reakcji" miały jakoby wynieść 3 tysiące, podczas gdy po stronie aparatu represji aż 22 tysiące. Łukasz Sicha starannie weryfikuje te dane, posługując się zarówno materiałami archiwalnymi, jak i publikacjami działaczy partyjnych.

Cytując oficjalne wydawnictwa, zwraca uwagę, że liczbę ofiar po stronie władzy określano początkowo na 6 tysięcy. Liczba ta zdaniem autora "wydaje się wręcz fantastyczna i wyszana z palca". Jednakże w następnych latach wzrosła początkowo do 12 tysięcy, potem do 16 tysięcy, by wreszcie ustabilizować się na 22 tysiącach. Z drugiej natomiast strony oczywiście zmniejszone są dane dotyczące strat wśród ludności cywilnej. Na podstawie statystyk z archiwum MSW autor oblicza, że w tym czasie aparat represji zabił 8.668 osób, a liczba aresztowanych zbliżyła się do 80 tysięcy.

Konkluzje autora są takie. System terroru i represji "przejawiał się nie tylko w pacyfikacji ukraińskich i pols-

kich wsi, w organizowaniu przez organa bezpieczeństwa /polskie, a może radzieckie?/ pogromów żydowskich, w fizycznym eliminowaniu przeciwników politycznych, ale również w morderstwach sądowych... Przeciw bezbronemu obywatelom Rzeczypospolitej, zarówno tym, których można uznać za aktywnych przeciwników politycznych, jak i tym biernym - milczącej większości... stanęli uzbrojeni w automaty i pistolety, karabiny i granaty, działka przeciwpancerne i samochody, oficerowie i szeregowi z UB, MO, WP, KBW... dowodzeni przez oficerów i doradców sowieckich". Taką była ta "wojna domowa".

O "wojnie domowej" pisał kilkakrotnie Tadeusz Walichnowski. Nasz Autor podaje ciekawe informacje o jego karierze. "Jest znawcą problemu - był funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa w latach 1945-1968... Był autorem antysemitkich broszur wydanych w 1968 roku w 17 językach i bezpłatnie rozdawanych w ambasadach PRL. W wyniku zarzucanych mu nadużyć, w związku z dochodami, jakie uzyskał z publikacji tych broszur, został w 1969 roku usunięty z MSW i przeszedł na emeryturę. Szybko jednak zdobył nowe ostrogi, tym razem "naukowe" w dziedzinie politologii, i już jako profesor powrócił w 1981 roku "zrehabilitowany" do MSW na stanowisko rektora Akademii Spraw Wewnętrznych, a na IX Zjeździe PZPR został członkiem KC". Jak to się mówi, właściwy człowiek na właściwym miejscu...

x

x

x

Na zakończenie chciałbym wydobyć z zapomnienia, a raczej - z archiwum Bolesława Bieruta, dwie sprawy /indywidualne/, które w swoim czasie wywołały spore zainteresowanie, a mianowicie proces Włodzimierza Lechowicza i aresztowanie braci Fieldów. Obie sprawy są omówione we wspomnianym "protokole otwarcia kas" /Bieruta/.

Włodzimierz Lechowicz i jego współpracownik Alfred Jaroszewicz byli przedwojennymi komunistami i - jak się teraz dowiadujemy - agentami sowieckiego wywiadu. Po wojnie zostali "oddelegowani" do Stronnictwa Demokratycznego, które reprezentowali w Sejmie Ustawodawczym.

W 1948 roku zostali nagle aresztowani i oskarżeni o wszelkie możliwe zbrodnie /t.j. współpraca z gestapo/. Szło o to, że mieli być głównymi świadkami w przygotowywanym przez Bieruta procesie Spychalskiego. /Lechowicz po latach więzienia został "rehabilitowany"; niedawno zmarł/.

Lechowicz i Jaroszewicz, jak pisze Łukasz Socha, "nie przyznawali się do fałszywych oskarżeń o współpracę z gestapo, o spowodowanie aresztowania w listopadzie 1943 r. Pawła Findera, I sekretarza PPR, i Małgorzaty Fornalskiej, członka KC PPR. Wyjaśniali, że w przedwojennej "dwójce" /II Oddział Sztabu Generalnego WP - wywiad i kontrwywiad/ pracowali z raniienia wywiadu radzieckiego, o czym wiedziała partia /członek KC KPP, Leon Ferszt/, że w Państwowym Korpusie Bezpieczeństwa, "Starcie" i innych agendach Delegatury Rządu na Kraj pracowali z polecenia PPR lub GG i AL /za wiedzą M. Spychalskiego/, że po wojnie kontakty z Delegaturą Sił Zbrojnych na Kraj, kierowaną przez płk. J. Rzepeckiego, nawiązali za wiedzą i zgodą zarówno Spychalskiego, jak i Gomułki, który z kolei stwierdził w czasie przesłuchań, iż poinformował o tym Biuro Polityczne PPR.

Mimo że były momenty, gdy się załamywali, odwoływali potem swoje wymuszone zeznania i w końcu na procesach "tiblowych", które odbyły się na początku lipca 1955 roku, nie przyznali się do winy, niemniej Jaroszewicz został skazany na 10 lat, a Lechowicz na 15 lat więzienia - po aresztowaniu bez nakazu prokuratora, po trwającym od jesieni 1948 roku śledztwie i, mimo że byli posłami na Sejm Ustawodawczy, bez zgody Izby Poselskiej". Jako ciekawostkę dodajmy, że Lechowicz, pomimo więzienia i tortur, nie przestał siebie uważać za członka partii...

Sprawa braci Fieldów, nigdy całkowicie nie wyjaśniona, mogłaby stać się punktem wyjścia dla scenariusza filmu polityczno-szpiegowskiego. Film taki chyba nie powstanie. W znanym nam już "protokole otwarcia kas" /Bieruta/ początek odcónego rozdziału brzmi tak:

"W czerwcu 1949 roku został aresztowany w Czechosłowacji przez węgierskie władze bezpieczeństwa Noel Field, obywatel amerykański, pod zarzutem uprawiania na rzecz wywiadu amerykańskiego szpiegostwa i dywersji w międzynarodowym ruchu robotniczym. Sprawa była związana z przygotowywaniem procesu Rajka i innych, z którymi Field miał kontakty



w czasie pobytu w Hiszpanii.

Po aresztowaniu Fieldá w Pradze, aresztowani zostali w Polsce towarzysze, którzy znali go bądź z okresu międzywojennego, bądź z okresu wojny /następuje siedem nazwisk/. Zatrzymano również w sierpniu 1949 roku Hermana Fielda, który przyjechał do Polski z Anglii w poszukiwaniu zaginionego brata... Śledztwo, prowadzone niezwykle intensywnie /6 do 11 przesłuchań dziennie/, ustalić miało nie tylko charakter powiązań Fieldów z towarzyszami przebywającymi przed wojną i w czasie okupacji na Zachodzie, ale w ogóle rozpracować środowisko polityczne emigracji przedwojennej ruchu robotniczego oraz ustalić wpływy i powiązania z trockistami".

Łukasz Socha wyjaśnia, dlaczego Fieldowie zostali aresztowani i jaką rolę mieli odegrać. Otóż byli, jak pisze "idealnymi kandydatami na "szpiegów" penetrujących szeregi komunistów czeskich, polskich, węgierskich, niemieckich, jugosłowiańskich". Obaj bracia wywodzili się ze środowiska o tradycjach pacyfistycznych i kwakerskich. Obaj byli sympatykami /lub cichymi członkami/ amerykańskiej partii komunistycznej. Noel Field w latach 30-tych pracował w Departamencie Stanu, utrzymywał stosunki z Allenem Dullesem, szefem amerykańskiego wywiadu, z drugiej jednak strony nawiązał kontakt z wywiadem sowieckim i znał wielu przebywających na emigracji działaczy komunistycznych. Czyż mógł być lepszy świadek w reżyserowanych w tym czasie procesach przywódców partyjnych, jak np. Lászlo Rajka na Węgrzech, gdzie nazwisko Fielda wymieniano wielokrotnie?

Jednym z oficerów służb bezpieczeństwa, zajmujących się sprawą Fieldów, był płk Józef Światło /też postać nadająca się do scenariusza filmowego/. Dopiero jego ucieczka na Zachód i jego rewelacje radiowe zmusiły władze polskie do zwolnienia Hermana Fielda, a węgierskie - do wypuszczenia z piwnicy więziennej /po 6 latach! / Noela. Herman natychmiast powrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie schronił się w życie prywatne, natomiast Noel pozostał na Węgrzech, gdzie zmarł przed kilku laty. Obaj nigdy nie wyjaśnili swych dramatycznych przygód. Może pozostali "wierzącymi" ko-

munistami? :

Czytelnicy niezwyklej książki Łukasza Sochy winni są wdzięczność funkcjonariuszom partyjnym, którzy umożliwili mu dostęp do tak fascynujących materiałów archiwalnych.

Lektor

---

## NIEZALEŻNY RUCH WYDAWNICZY

/opracowanie Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych/

### I. Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych

Rada Wydawnictw Niezależnych powstała z inicjatywy przedstawicieli Funduszu Niezależnych Wydawnictw, ZTK "S" i samych wydawców mających poczucie odpowiedzialności za swoją działalność i wykorzystywanie funduszy przeznaczonych na cele wydawnicze. Zrodziło to potrzebę obiektywnego spojrzenia z zewnątrz na problemy działalności wydawniczej.

Do Społecznej Rady Wydawnictw Niezależnych weszli przedstawiciele różnych środowisk o uznanym autorytecie moralnym i społecznym, nie związani bezpośrednio z żadnym z istniejących w kraju wydawnictw. Do zadań Rady należy:

1. Ocena produkcji wydawniczej z punktu widzenia poziomu publikowanych pozycji i ich znaczenia dla rozwoju kultury w najszerszym pojęciu tego słowa.
2. W miarę możliwości koordynacja planów wydawniczych poszczególnych wydawnictw w taki sposób, aby z jednej strony uniknąć niepotrzebnego rozpraszania sił i środków na wydawanie tej samej pozycji w kilku wydawnictwach /np. różnych tłumaczeń tego samego dzieła/, z drugiej - nie stracić możliwości wydawania wartościowej książki lub czasopisma.
3. Ocena prawidłowości rozdziału i wykorzystania środków finansowych przeznaczonych na wydawnictwa /FNW/.
4. Czuwanie nad przestrzeganiem etyki edytorskiej w stosunkach wydawnictwo-autor, wydawnictwo-wydawca, przestrzeganie praw autorskich i praw do przedruków.

Odnośnie zadań wymienionych w punktach 1 i 2, należy od razu zaznaczyć, że SRWN nie prowadzi działalności nakładowej ani cenzuralnej, nie będzie narzucać wydawnictwom

żadnych planów, linii i profilu wydawniczego, ani tym bardziej zalecać skreślenia jakichkolwiek pozycji. Rada wychodzi z założenia, że każde niezależne wydawnictwo ma prawo kształtować swoją działalność według własnego uznania. Oceniając pozycje wydane i zaistniałą sytuację w danym wydawnictwie, Rada ma obowiązek wyrażać swoją opinię, wysuwać propozycje i sugestie dotyczące różnych aspektów tej działalności /treść, poziom, forma, wysokość nakładu, cena książki/ oraz służyć radą w razie potrzeby. Żadna z tych opinii nie ma mocy nakazowej.

Głównym przedmiotem zainteresowania Rady jest działalność wydawnictw zrzeszonych w tzw. Konsorcjum Wydawniczym będącym dysponentem FWN oraz wydawnictw, które są lub będą przez ten Fundusz wspomagane. Rada będzie jednak przyglądać się uważnie działalności innych wydawnictw, odgrywających znaczną rolę w niezależnym życiu kulturalnym i wyrażać opinię na ich temat.

Przedstawione obecnie opracowanie jest pierwszym dokumentem Rady. Ze względu na krótki czas jej działalności należy je traktować jako wstępny raport.

## II. Znaczenie wydawnictw niezależnych

Tu należy powiedzieć kilka słów o znaczeniu, jakie SEJWN przypisuje niezależnemu ruchowi wydawniczemu w Polsce. Fenomen niezależnego ruchu wydawniczego /nrw/ w Polsce jest bezprecedensowy; w żadnym z krajów bloku nie osiągnięto nawet w przybliżeniu podobnych efektów. Sądzimy, że ruch ten jest jednym z najważniejszych i mających najbardziej dalekosiężne znaczenie przejawów rosnącej od lat dążeńności narodu polskiego do odzyskania niezależności duchowej, intelektualnej, kulturalnej, której usiłowano go pozbawić, do nawiązania tradycyjnych więzi z myślą europejską i światową, które starano się zerwać.

Ruch ten przez swoją różnorodność, przez swą zdolność do upowszechniania myśli niecenzurowanych, do ujawniania prawdy i przeciwdziałania blokadzie informacji uprawianej przez władzę spełnia wprost nieocenioną rolę w walce narodu o ocalenie i umocnienie swej tożsamości. Szczególnie doniosły jest jego wpływ na kształtowanie



świadomości młodego pokolenia. Wielką rolę tego ruchu i jego największe dowód osiągnięcia upatrujemy przede wszystkim w następujących dziedzinach:

1. W kształtowaniu prawdziwej i niezfałszowanej wiedzy o historii Polski, dziejach narodowych walk o niepodległość, o historii ustanowienia władzy komunistycznej w Polsce i jej poczynaniach w ciągu 40 lat, o przejawach i formach oporu społecznego.

2. W upowszechnianiu wiedzy o istocie, metodach i prawdziwych celach systemu komunistycznego i innych tryzmów totalitarnych, w demaskowaniu tworzonych przez nich mitów ideologicznych i przeciwdziałaniu jego fałszerstwom propagandowym. Między innymi bardzo ważną funkcję w tym jest rozkładanie i demaskowanie "Lowlowoy", ujawnianie nadużyć sententystycznych, którymi władza komunistyczna obficie się posługuje.

3. W upowszechnianiu niedostępnych w oficjalnym obiegu wydawniczym najważniejszych osiągnięć światowej myśli politycznej, społecznej, społecznej, ekonomicznej, humanistycznej, w dostarczaniu polskiemu czytelnikowi ważnych analiz i opracowań dotyczących świata, w którym żyjemy, a którego obraz jest systematycznie wypaczany w oficjalnych środkach przekazu i szkołach. To właśnie w Polsce w zapoznań w szerokiej skali czytającą publiczność w Polsce z takimi autorami jak Orwell, Kestler, Jaspers, Popper, Hayek, Freiman, Kołakowski, Besancon i inni. To właśnie on upowszechnił dzieła Kundery, Seifferta, Sołżenicyna, Bukowskiego, Mandelsztama. Dzięki niemu ukazują się Zeszyty Edukacji Narodowej i inne publikacje niezbędne w niezależnej działalności oświatowej. Stale wydawane są przez Społeczny Komitet Nauki i temu celowi służą lektury studenckie /wyd. "In Plus"/, a przez Społeczna Komisję Zdrowia "Zeszyty Niezależnej Myśli Lekarskiej" /wyd. TKO "Solidarność" Reg. Mazowsze/.

4. W tworzeniu szans zapoznania polskiego czytelnika z ważnymi dziełami kultury polskiej powstającymi w kraju i zagranicą, a które nie są dopuszczane do czytelnika przez działania cenzury. Jest to zarazem praca umożliwiająca istnienie kultury i twórców niezależnych i niekonformistycznych. Ma to szczególne znaczenie w przypadku twórców młodych, tych, których ołówki cenzora usiłuje przekreślić i zepchnąć na margines.

5. W pracy na rzecz łączności pomiędzy Polakami w kraju

i zagranicą, a także pomiędzy Polakami i innymi naródm, zwłaszcza narodami sąsiadującymi z nami, na rzecz wzajemnego zrozumienia, a przeciw ideologii nienawiści, która jest podstawą propagandy oficjalnej.

6. Umożliwieniu istnienia i ujawniania się publicznie różnorodnej palety postaw, myśli, poglądów, ocen, propozycji, które łącznie tworzą dziś zaskakujące bogactwo życia intelektualnego w Polsce, nie istniejącego w obiegu oficjalnym. Zjawisko to jest możliwe dzięki ukazywaniu się w "drugim obiegu" licznych pism reprezentujących inne kierunki myślowe. Wiele z tych pism ma już dziś pokasny dorobek.

W każdej z tych dziedzin można już wymienić dziesiątki, a nawet setki publikacji, które ogromnie wzbogaciły życie umysłowe w Polsce. Jest ich tak wiele, że wyliczenie nawet najważniejszych nie jest tutaj możliwe. Niektóre z nich osiągnęły stosunkowo duże nakłady /kilka tysięcy, do czego doszły nowe wydania i dodruki/, inne ukazały się w nakładach małych /ok. 500 egzemplarzy/, ale wszystkie krążą po kraju i znajdują swoich czytelników. Ich wpływ i znaczenie rosną, czego dowodem może być fakt, że ślady ich oddziaływania dają się coraz częściej zauważyć także i w obiegu oficjalnym. Zignorować ich już nie można.

### III. Próba krytycznej oceny

Niezależny ruch wydawniczy jest niezmiernie trudny do oceny, z racji znanej nieostępności pełnych danych statystycznych. Wiemy, że mamy obecnie ok. 100, różnie działających wydawnictw /w porównaniu z 35 przed Sierpniem, ok. 200 w czasach "S", oraz ok. 80 w stanie wojennym/. Różna jest ich stabilność, wydajność, poziom działalności, nie możemy z przyczyn zrozumiałych ocenić zasad ich działalności. Wymierna jest jedynie produkcja, chociaż stanowi ona wypadkową wielu zmiennych czynników, których nie możemy znać i wśród których elementy rachunku ekonomicznego krzyżują się albo są krzyżowane przez wypadki losowe.

Kryteria doboru pozycji są na pierwszy rzut oka bardzo różnorodne. Jedni wydawcy myślą bardziej o do-  
rażnym efekcie i chodliwości. Inni mają na uwadze dłu-

główny interes społeczny /tu można wskazać zwłaszcza: NCB i Oficynę Literacką/. W sumie jednak nrw jako całość zdolny jest do zaspokojenia bardzo szerokiego wachlarza potrzeb czytelniczych. Ma z jednej strony zaawansowane inicjatywy typu leksykonowego, z drugiej elegancki koniks Fedorowicz; w środku zaś prozę, poezję, publicystykę, esejystykę, poważne dzieła filozoficzne /Simone Weil, Biednajak, Szestow, Kołakowski/, historię Polski i innych krajów, historię idei, politologię, publikacje źródłowe i dokumentacyjne, reportaże, wywiady itp.

Są tu rzuwania i utwory oryginalne, repliki edycji emigracyjnych, tłumaczenia z wielu języków obcych. Wśród tych ostatnich zwraca uwagę szczególnie i bardzo cieszy sięganie do dorobku sąsiedzkiego. Umożliwia to autentyczne, stopniowe ograniczanie polskich uprzedzeń wobec Rosjan, Ukraińców, Litwinów, Czechów, Niemców. Dalejanie takie bez nrw byłoby w ogóle nie do pomyslenia.

Korzystnie wygląda w nrw obecność znaczących autorów polskich, którzy mają teraz alternatywę wobec bezprawia cenzury. Tak np. Komwicki, Newerly i wielu innych: jeśli mogą, wydają oficjalnie, jeśli nie - w nrw. I tak jest dobrze.

Szeroki, prawie nieograniczony, poza zupełnymi skrajnościami z lewa i z prawa, jest wachlarz postaw i poglądów. W zasadzie każda utrwalona piórem wizja świata, o ile jest ciekawa, może liczyć na znalezienie wydawcy. Jest to jakby paradigmat sytuacji w przyszłej, prawdziwie demokratycznej Polsce.

Uderza wszechstronność działalności nrw. Jest to prawie normalny ruch wydawniczy, i jeśli założyć abstrakcyjnie, że miałoby się do jego wyników systematyczny, swobodny dostęp, to wystarczyłoby to lektury zackręcić pewną ilością wybranych pozycji wydawnictw katolickich i obiegu oficjalnego, aby otrzymać efekt pełni. Ważne na przyszłość jest umiejętne zachowanie proporcji między edytorskimi działaniami doraźnymi, społecznie lubianymi i niezbędnymi - a polityką całkowicie niezależną od przeciwnika, nie wdająca się w boks na ringu, kształtująca własną wizję życia duchowego Polaków. Na dłuższą metę pożądane jest z pewnością zmienianie tych proporcji - ku całkowitej niezależności.

Zasługuje na podkreślenie rola tych wydawnictw, które



rych oficyny publikują również czasopisma. Nie jest to proceder łatwy, ani szczególnie opłacalny, ale ma kapitalne znaczenie dla życia umysłowego i kultury. Rozkwiit czasopiśmiennictwa /co najmniej kilkunastcie tytułów bardzo wartościowych, kilka znakomitych/ jest bodaj najbardziej spektakularnym sukcesem nrw i wszystkich niezależnie myślących Polaków w ostatnim dziesięcioleciu.

Uwagi krytyczne dotyczą doboru pozycji w niektórych wydawnictwach. Zdarzają się, chociaż niezbyt często, szczyry typu osławionego Bałcza lub antykomunistycznego prymitywu w rodzaju "Lenina" Ossendowskiego. Rysuje się niebezpieczeństwo innych podobnych inicjatyw, animowanych chęcią "przyłożenia czerwonemu". Należy dążyć do znalezienia skutecznych form perswazji lub antybojźców. Inaczej pogoni za doraźnym efektem czy zyskiem i schlebianie złym gustom może dawać opłakane skutki.

Oczywiście, ale trudno osiągalne jest życzenie podwyższenia poziomu edytorckiego, a zwłaszcza czytelności, która budzi lenenty odbiorców. Zwraca uwagę fakt, że niektóre wydawnictwa osiągają tu świetne efekty /np. Szestow i Malia w OL/, trudno jednak wobec znanych trudności stawiać pod tym względem jedne wydawnictwa za przykład innym. Można natomiast postulować:

- poświęcanie większej troski opracowaniu redakcyjnymu tekstów /w pewnych okresach, np. we wczesnym stanie wojennym, miało się wrażenie, że niektóre wydawnictwa w ogóle obchodziły się bez redaktorów/ a także korekcie. Ta ostatnia jest z reguły bardzo słabą stroną /por. np. horrendalne niechlujstwo zasłużonej OL w "Tantych brzegach" Nabokova/.

- kalkulowanie nakładu i organizowanie kolportażu /jedno i drugie, rzecz jasna, w miarę możliwości/ tak, aby książki lub czasopisma nie stawały się jedynie tytułami dla chwały, odnotowanymi przez zawodowców i koneserów oraz chomikowanymi przez grono bibliofilów, lecz rzeczywiście szły w Polskę. Problem ich dostępności rzeczywiście budzi fraszunek. Znalezienie właściwego rozwiązania tego problemu wydaje się bardzo trudne.

- respektowanie elementarnych moralnych i materialnych praw i interesów autorów. Tu również sytuacja stwarza pewne przymusy i konieczności zachowań niekonwencjo-

nalnych. Należy jednak unikać zdarzających się tu i ówdzie rezygnacji z przyjętych już zobowiązań publikacyjnych, a nawet nieuczciwości płatniczych.

#### IV. Konsorcjum Wydawnicze a niezależny ruch wydawniczy

Konsorcjum Wydawnicze powstało w wyniku podpisania umowy pomiędzy sześcioma dużymi wydawnictwami niezależnymi /KOS, NOWA, CBN, Arag, Przedświt, Oficyna Literacka/. Firmy te legitymują się wieloletnią działalnością wydawniczą. W ciągu ostatniego roku wydały one 65 pozycji książkowych i broszur oraz wspierały lub współwydawały 9 czasopism. W wydawnictwach tych ukazały się książki o zasadniczym znaczeniu dla życia kulturalnego kraju.

Konsorcjum dysponuje funduszem Wydawnictw Niezależnych. W 1986 r. z PWN otrzymało dotację 46 wydawnictw niezależnych /wliczając w to sygnatariuszy konsorcjum/, w tym aż 30 pozawarszawskich. Według opinii Rady fundusze te zostały przyznane w sposób uzasadniony i celowy. Szczególnie ważny jest fakt, że dotowano tak wiele wydawnictw spoza Warszawy, a wśród nich wydawnictwa z tak niewielkich - a już liczących się w ruchu wydawniczym - ośrodków jak np. Kielece lub Siedlce. W przybliżeniu można określić liczbę pozycji książkowych lub większych broszur wydanych przez wydawnictwa dotowane z PWN /poza konsorcjum/-na ok. 250.

Przynależność do Konsorcjum i korzystanie z PWN lub innych dotacji jest sprawą całkowicie dobrowolną. Niektóre firmy wydawnicze, np. "Głos", wychodzą z założenia, że wydawnictwa niezależne powinny całkowicie finansować się same, a nawet - wzorem firm w świecie zachodnim - przynosić zysk obracany na dalszy rozwój wydawnictwa, wyższe honoraria autorskie itp. Takie stanowisko jest pełnym prawem niezależnego wydawnictwa, tym bardziej tak zasłużonego i prowadzącego bogatą działalność, jak "Głos"<sup>x</sup>.

Niepokój Rady budzą jednak stale rosnące ceny książek, które dawno już przekroczyły możliwości przeciętnych odbiorców, a zwłaszcza młodzieży. Zdaniem Rady dotowanie wielu wydawnictw jest bezwzględnie konieczne. Pomimo bowiem zasady, do której spełnienia należałoby dążyć, że wy-

---

x/ Wydawnictwo to wydało w 1986 roku 8 książek, stale wydawano 1 miesięcznik "Głos" i współwydawało tygodnik "Wiadomości".

dawnictwa niezależne powinny zarabiać na sobie /można to osiągnąć m.in. przez zwiększenie nakładów/, istnieją inicjatywy wydawnicze, które muszą być wspomagane, a ceny niektórych pozycji powinny być niskie, a nawet poniżej kosztów własnych. Są to przede wszystkim pozycje o znaczeniu edukacyjnym, przeznaczoną dla studentów i uczniów, dokształcające robotników, pozycje encyklopedyczne oraz publikacje o wybitnej roli kulturotwórczej /np. K.Korsten/. Rada uważa za niezbędne wspieranie takich inicjatyw.

Niepokojąca sytuacja powstała - zdaniem Rady - w związku z niechęcią firm wydawniczych do druku czasopism. Takie trudności miała np. "Kultura Niezależna", "Obóz". Niektóre periodyki drukujące aktualne materiały społeczne lub polityczne ukazują się z takim opóźnieniem, że tracą całkowicie swój sens, a zatem i odbiorców. Stanowi to niepowetowaną stratę moralną i materialną. Rada wyraża opinie, że wydawnictwa winny współpracować z redakcjami, spełniać opiekę nad czasopismami i dbać o ich regularne ukazywanie się. Wydawnictwa, które będą drukować periodyki ważne dla kultury społecznej zgodnie z zasadami obowiązującymi w tego typu produkcji /terminowość i regularność/, powinny otrzymywać w pierwszej kolejności dotacje z FWN.

Opracowano kryteria a/ przynależności do konsorcjum, b/ dotowania wydawnictw z FWN.

a/ Do Konsorcjum mogą wchodzić duże wydawnictwa legitymujące się bogatą działalnością wydawniczą, obejmującą książki oryginalne polskich i obcych autorów oraz czasopisma o jużym znaczeniu kulturalnym i społecznym. Pozycje wydawane przez firmę pretendującą do wejścia do konsorcjum muszą przedstawiać wysoki poziom merytoryczny lub literacki oraz dobrą formę edytorską i techniczną. Jeżeli firma należąca do konsorcjum przez 2 lata nie wyda żadnej pozycji lub odmówi współpracy z redakcją uznanego czasopisma bez istotnych niezależnych od nich przyczyn - może na wniosek Rady zostać wykluczona z konsorcjum.

b/ O dotacje lub pożyczkę z FWN mogą ubiegać się wydawnictwa, które wykażą się dokonanym uprzednio kon-



kretnym przedsięwzięciem wydawniczym, o walorach kulturotwórczych lub edukacyjnych. Przy rozpatrywaniu zasadności dotacji będą brane pod uwagę warunki, w jakich działa wydawnictwo, środowisko, do którego adresowana jest produkcja wydawnicza i poziom techniczny tej produkcji. Preferowane będą wydawnictwa opiekujące się czasopismami. Przyznaje dotację konsorcjum. W wątpliwych wypadkach konsorcjum zasięga opinii Rady.

X X X

Spółeczna Rada Wydawnictw Niezależnych uważa, że nrw jest naszym największym atutem, najskuteczniejszą formą więzi ze społeczeństwem i oddziaływania na nie, a także największym tytułem do chwały i propagandy w świecie. Póki nie ma nowy o manifestacjach, strajkach, protestach itp. - niezależny ruch wydawniczy stanowi nasz główny fort. Wydawnictwa niezależne są najpoważniejszą bronią społeczeństwa w walce o spełnienie jego uzasadnionych aspiracji.

Warszawa, grudzień 1986.